

ROBERT E. HOWARD

LUDZIE CZARNEGO KRĘGU

(PRZEŁOŻYŁ: ZBIGNIEW A. KRÓLICKI)

SCAN-DAL

Conan z Cymerii

„Słuchaj - mówi Conan - urodziłem się w górach Cymerii, gdzie wszyscy są barbarzyńcami. Byłem najemnym żołnierzem, korsarzem, kozakiem, robiłem sto innych rzeczy. Który król przemierzył tyle krajów, stoczył tyle bitew, kochał tyle kobiet i zdobywał takie łupy jak ja?”

Najsłynniejszy bohater amerykańskiego pisarza Roberta E. Howarda (1906 - 1936), którego trzy zbiory opowiadań zapoczątkowały cykl „Magią i mieczem”, narodził się w 1932 roku na łamach magazynu „Weird Tales”. Za życia autora ukazało się osiemnaście opowieści o nieustraszonemu barbarzyńcy, tragiczna śmierć Howarda nie położyła jednak kresu egzystencji Conana. Dzieło Howarda podjęli liczni naśladowcy (L. Sprague de Camp, Lin Carter, Robert Jordan, Karl E. Wagner, Poul Anderson), rysownik Frank Frezetta uczynił Conana jedną z najbardziej popularnych postaci w historii komiksu, a reżyser John Milius przeniósł go na ekran filmowy czyniąc bohaterem monumentalnej epopei *Conan barbarzyńca*.

Popularność Conana nie maleje, lecz rośnie - w Polsce widomym jej dowodem jest popyt na wydawane przez

wrocławski Klub miłośników SF „Sfera” zeszyty Howardowskie jak również nie słabnące powodzenie wideokaset z filmami, w których rolę Cymerianina kreuje austriacki kulturysta Arnold Schwarzenegger. Przyczyn tej zadziwiającej popularności upatrywać należy nie tylko w odwiecznym zapotrzebowaniu na bohatera pozytywnego zwycięsko walczącego ze złem, w dzieckim podszytą fascynacją baśniowym rekwizytorium i wartką akcją, ale również w klarownej, przemawiającej do wyobraźni wizji świata, w jakim Howard umieścił swego bohatera.

Kim był Conan? Na to pytanie niełatwo odpowiedzieć, tym bardziej że wymyślona przez Howarda historia nie jest jeszcze zakończona, wciąż się tworzy, wciąż trwa na łamach licznych fanzinów, w książkach, na ekranie, w grach planszowych i komputerowych. Conan, barbarzyńca z Cymerii - jednej z krain istniejącego przed 12 tysiącami lat świata - był w swym burzliwym życiu gladiatorem i złodziejem, najemnym żołnierzem i piratem, ambasadorem i generałem... Ten prostoduszny awanturnik o herkulesowej sile, niepokonany w boju i szlachetny wobec słabszych, łasy na doczesne dobra i kobiece wdzięki, kroczy przez mroki barbarzyńskiego świata zwyciężając potwory i

**podstępnych czarowników, by w końcu zostać władcą
samodzielnego państwa.**

Oto jedna z jego przygód.

1. Śmierć króla

Król Vendii umierał. Wśród parnej, gorącej nocy niosło się dudnienie świątynnych gongów i ryk konch. Słabe echo tego hałasu dochodziło do komnaty o złotym sklepieniu, w której Bunda Czand miotał się na wyściełanym aksamitem pościeli. Ciemna skóra króla lśniła od potu, a palce szarpały przetykaną złotem pościel. Był jeszcze młody; nie zraniono go włócznią, nie wsypano trucizny do wina. A jednak na skroniach nabrzmiały mu sine węzły żył, a oczy zasnuł cień zbliżającej się śmierci. U podnóża podium klęczały drżące niewolnice, a u wezglowia stała siostra króla, Devi Jasmina, spoglądając nań z głęboką troską. Był z nią wazam, sędziwy szlachcic od dawna należący do królewskiego dworu.

Gdy daleki łomot bębnow dotarł do jej uszu, Jasmina gwałtownym ruchem podniosła głowę.

- Ach, ci kapłani i cała ta wrzawa! - wykrzyknęła z gniewem i rozpaczą. - Są tak samo bezradni jak medycy! On umiera i nikt nie wie dlaczego. Umiera - a ja stoję tu bezradna, ja, która puściłabym z dymem całe miasto i przelała krew tysięcy, aby go ocalić!

- Nie znalazłabyś w Ajodii człowieka, który nie chciałby umrzeć zamiast niego, gdyby to było możliwe, Devi - odparł wazam. - Ta trucizna...

- Mówię ci, że to nie trucizna! - krzyknęła. - Od dziecka był strzeżony tak dobrze, że najzręczniejsi truciele Wschodu nie zdołali go osiągnąć. Pięć czaszek bielejących na Wieży Latawców dowodzi, że próbowano - daremnie. Dobrze wiesz, że mamy dziesięciu mężczyzn i dziesięć kobiet, których jedynym obowiązkiem jest kosztowanie jego wina i potraw, a jego komnaty strzeże pięćdziesięciu strażników - tak jak w tej chwili. Nie, to nie trucizna - to czary. Okropna klątwa...

Umilkła, bo król przemówił; jego posiniałe wargi nie poruszyły się, a w szklistych oczach nie pojawił się nawet przeblysłk świadomości, lecz jego głos wzniósł się w upiornym wołaniu, niewyraźnym i cichym, jakby wzywał ja z niezgłębionych, smaganych wiatrem otchłani.

- Jasmino! Jasmino! Siostrze moja, gdzie jesteś? Nie mogę cię znaleźć. Wszędzie ciemność i wycie wichrów!

- Bracie! - zawołała Jasmina, konwulsyjnym ruchem chwytając bezwładną dłoń. - Jestem tu! Czy mnie nie poznajesz?

Urwała widząc zupełną obojętność malującą się na twarzy króla. Z jego ust wydobył się słaby, nieartykułowany jęk. Niewolnice u stóp podium zaskomliły ze strachu, a Jasmina rozdzierała szaty w udreće.

W innej części miasta pewien człowiek spoglądał zza ażurowej kraty balkonu na długą ulicę oświetloną ponurym blaskiem dymiących pochodni, ukazującym zwrócone ku niebu ciemne twarze o lśniących białkach oczu. Z tysięcy ust dobywało się przeciągłe zawodzenie.

Mężczyzna wzruszył szerokimi ramionami i wróci do komnaty o pokrytych arabeskami ścianach. Był wysoki, dobrze zbudowany i odziany w kosztowny strój.

- Król jeszcze nie umarł, ale już słyhać żałobne pienia - rzeki do innego mężczyzny, który ze skrzyżowanymi nogami siedział na macie w kącie pokoju. Ten drugi miał na sobie brązową togę z wielbłądziej wełny, sandały i zielony turban. Popatrzył obojętnie na mówiącego.

- Ludzie wiedzą, że nie doczeka świtu - odparł. Pierwszy obrzucił go przeciągłym, badawczym spojrzeniem.

- Nie mogę pojąć - powiedział - dlaczego musiałem tak

długo czekać, by twoi panowie uderzyli. Skoro mogli zabić króla teraz, dlaczego nie mogli tego zrobić kilka miesięcy wcześniej?

- Nawet sztuką, którą ty zwiesz magią, rządzą kosmiczne prawa - odparł człowiek w zielonym turbanie. - Gwiazdy kierują takimi działaniami tak samo jak innymi sprawami. Nawet moi panowie nie są w stanie tego zmienić. Dopóki gwiazdy nie znalazły się we właściwym położeniu, nie mogli rzucić czaru.

Długim, poplamionym paznokciem kreślił konstelacje na marmurowych płytach podłogi.

- Pozycja Księżyca wróży nieszczęście królowi Vendii; zamieszanie wśród gwiazd, Żmija w Domu Słonia. Przy takim położeniu niewidoczni strażnicy opuszczają duszę Bundy Czanda. W niewidzialnych królestwach droga staje otworem i kiedy udało się znaleźć punkt kontaktu, posłano nią potężne siły.

- Punkt kontaktu? - dociekał drugi mężczyzna. - Masz na myśli ten kosmyk włosów Bundy Czanda?

- Tak. Wszystkie części ludzkiego ciała pozostają ze sobą w styczności, połączone nierozzerwalnymi więzami. Kapłani Asura od dawna to podejrzewali, tak więc obcięte

paznokcie, włosy i inne resztki pochodzące od członków królewskiej rodziny są przezornie spopielane, a popiół ukrywany starannie. Jednak na usilne błagania księżniczki Kosali, która nieszczęśliwie się w nim zakochała, Bunda Czand podarował jej kosmyk swych długich, czarnych włosów na pamiątkę. Kiedy moi panowie zdecydowali o losie króla, ten kosmyk został skradziony ze złotego, wysadzanego klejnotami pudełka, które księżniczka trzyma w nocy pod poduszką, a na jego miejsce podłożono inny, tak podobny, że nie zauważyła różnicy. Później prawdziwy kosmyk przebył wraz z karawaną wielbłądów długą, długą drogę do Peszkauri i przez przełęcz Zaibar, aż dotarł do rąk tych, do których miał dotrzeć.

- Zwyczajny kosmyk włosów - mruknął szlachcic.

- Dzięki któremu można duszę wydobyć z ciała i pociągnąć w bezkresną otchłań mroku - rzekł człowiek siedzący na macie.

Szlachcic przyglądał mu się z ciekawością.

- Nie wiem, czy jesteś człowiekiem czy demonem, Khemsa - powiedział w końcu. - Mało kto z nas jest tym, na kogo wygląda. Mnie Kszatrijasi znają jako Kerim Szacha, księcia z Iranistanu, a jestem takim samym przebierańcem

jak inni. Tak czy inaczej, wszyscy ludzie są zdrajcami, a połowa z nich nie wie nawet, komu służy. Ja przynajmniej nie mam takich wątpliwości, bo służę królowi Turanu, Jezdigerdowi.

- A ja Czarnym Wróżbitom z Imszy - rzekł Khemsa - i moi panowie są potężniejsi od twego króla, swoją sztuką bowiem dokonali tego, czego on ze swymi tysiącami zbrojnych nie zdołał dokazać.

Żałosne jęki Vendian wznosiły się pod rozgwieżdżone niebo i ośli ryk konch przeszywał parne ciemności nocy.

W pałacowych ogrodach światła pochodni odbijały się w polerowanych hełmach, wygiętych mieczach i wysadzonych złotem napierśnikach. Wszyscy szlachetnie urodzeni wojownicy Ajodii zebrali się w wielkim pałacu lub wokół niego, a przy każdej z niskich, łukowatych bram i przy każdych drzwiach stało na straży pięćdziesięciu łuczników ze strzałami na cięciwach. Lecz Śmierć kroczyła przez królewski pałac i nikt nie mógł powstrzymać jej cichego pochodu.

W komnacie o złotym sklepieniu król krzyknął ponownie, dręczony paroksyzmami okropnego bólu. Jego

głos był znów słaby i daleki. Devi pochyliła się nad nim, drżąc z lęku spowodowanego czymś gorszym niż groza śmierci.

- Jasmino! - rozległ się znowu ten stłumiony, pełen cierpienia okrzyk z niezgłębionych otchłani. - Pomóż mi! Jestem tak daleko od domu! Czarnoksiężnicy zaciągnęli moją duszę w smagane wichrem ciemności. Usiłują przerwać srebrną nić, która wiąże mnie z umierającym ciałem. Klębią się wokół. Ich ręce są niczym szpony, a ich oczy są czerwone jak ognie jarzące się w mroku. Och, ocal mnie, siostró! Ich dotyk pali mnie jak ogień! Zniszczą moje ciało i zgubią moją duszę! Cóż to przywiedli przede mnie? Och!

Słyszając bezgraniczne przerażenie w jego głosie Jasmina krzyknęła przeraźliwie i przypadła mu do piersi w bezmiernej udręce. Ciałem króla wstrząsnęły straszliwe skurcze; z wykrzywionych warg popłynęła piana, a zaciskające się spazmatycznie palce zostawiły sine ślady na ramionach dziewczyny. Jednak jego oczy straciły szklisty wyraz, jakby wiatr rozwiał na chwilę zasnuwającą je mgłę, i król spojrział przytomnie na siostrę.

- Bracie! - załkała. - Bracie...

- Spiesz się! - jęknął, a jego słabnący głos brzmiał całkiem rozumnie. - Znam już przyczynę mojej zguby. Odbylem daleką podróż i zrozumiałem wszystko. To czarnoksiężnicy z Himelii rzucili na mnie czar. Wydobyli moją duszę z ciała i zabrali ją daleko, do kamiennej komnaty. Tam próbują zerwać srebrną nić życia i uwięzić moją duszę w ciele ohydneho potwora, którego ich zaklęcia przywiodły z piekieł. Ach! Czuję ich siłę! Twój płacz i uścisk twych palców sprowadziły mnie z powrotem, ale tylko na chwilę. Moja dusza wciąż trzyma się ciała, lecz ta więź słabnie. Szybko - zabij mnie, zanim na zawsze uwiężą mnie w tej otchłani!

- Nie mogę! - szlochała bijąc się w piersi.

- Szybko, nakazuję ci! - w słabnym szepcie pojawił się dawny władczy ton. - Zawsze byłaś mi posłuszna - usłuchaj ostatniego rozkazu! Wyślij mą czystą duszę na łono Asura! Spiesz się, bo inaczej skazesz mnie na wieczny pobyt w ciele obrzydliwej poczwary! Zabij mnie, nakazuję ci! Zabij!

Z rozpaczliwym krzykiem Jasmina wyrwała zza pasa nabijany drogimi kamieniami sztylet i zatopiła go po rękojęć w piersi brata. Król wyprężył się, jego ciało

zmiotczało; ponury uśmiech wykrzywił martwe wargi. Jasmina rzuciła się na usłaną sitowiem posadzkę, tłukąc w nią zaciśniętymi pięściami. Na zewnątrz ryczały konchy i grzmiały gongi, a kapłani ranili swe ciała miedzianymi nożami.

2. Barbarzyńca z gór

Czunder Szan, gubernator Peszkauri, odłożył złote pióro i uważnie odczytał list, który właśnie napisał na pergaminie opatrzonym pieczęcią swego urzędu. Rządził w Peszkauri od tak dawna jedynie dzięki temu, że wazył każde słowo, zanim je wypowiedział czy napisał. Niebezpieczeństwo rodzi rozwagę, a tylko ludzie ostrożni żyli długo w tym dzikim kraju, gdzie rozpalone równiny Vendii stykały się z poszarpanymi turniami Himelii. Godzina jazdy na zachód lub północ wystarczała, by przekroczyć granicę i znaleźć się w górach, gdzie rządziło prawo pięści i noża.

Gubernator był w komnacie sam. Siedząc za bogato rzeźbionym, inkrustowanym stołem z mahoniu widział przez szerokie, otwarte dla ochłody okno kwadrat granatowego nieba, usianego wielkimi, białymi gwiazdami. Blanki przylegające do okna muru rysowały się ledwie widoczną czarną linią, a dalsze strzelnice i ambrazury ginęły na tle rozgwieżdżonego nieba. Forteca gubernatora stała poza murami miasta, strzegąc wiodącej do niego drogi. Wietrzyk, poruszający gobelinami na ścianach przynosił z ulic Peszkauri słabe odgłosy życia - urywki

jękliwej pieśni lub cichy brzęk cytry.

Gubernator powoli przeczytał to, co napisał, osłaniając dłonią oczy przed światłem mosiężnego kaganka i bezgłośnie poruszając wargami. Czytając słyszał stuk końskich kopyt za barbakanem i ostre staccato głosu wartownika, żądającego podania hasła. Skupiony nad listem, nie zwrócił na to uwagi. Pismo było skierowane do wazama Vendii na królewskim dworze w Ajodii i po zwyczajowych pozdrowieniach brzmiało następująco:

Niechaj Waszej Ekscelencji będzie wiadomo, że wiernie wypełniłem instrukcje Waszej Ekscelencji. Tych siedmiu górali zamknąłem w dobrze strzeżonym tutejszym więzieniu i ustawicznie ślę wieści w góry, iż oczekuję, że ich wódz przybędzie osobiście pertraktować o ich uwolnienie. Jednak on jak do tej pory nie uczynił żadnego posunięcia z wyjątkiem rozpowszechniania wieści, że jeżeli nie zostaną wypuszczeni, to spali Peszkauri i - proszę Waszą Ekscelencję o wybaczenie - pokryje sobie siodło moją skórą. Jest zdolny do podjęcia takiej próby, tak więc potroiłem strażę na murach. Człowiek ten nie jest z pochodzenia Gulistańczykiem. Nie mogę przewidzieć, co zrobi. Skoro jednak takie jest życzenie Devi...

Gubernator zerwał się z fotela i w jednej chwili stanął przy łukowatych drzwiach. Sięgnął po zakrzywiony miecz, spoczywający w ozdobnej pochwie na stole. Zastygł w tym geście.

Osobą, która weszła tak niespodziewanie, była kobieta. Jej muślinowe szaty nie zakrywały kosztownych ozdób, jak również gibkości i piękna kształtnego, smukłego ciała. Na jej falujących włosach, opasanych potrójnym warkoczem i ozdobionych złotym półksiężycem, upięta była przejrzysta woalka, opadająca poniżej piersi. Czarne oczy spojrzały zza woalu na zdumionego gubernatora, a biała dłoń stanowczym ruchem odsłoniła twarz.

- Devi!

Gubernator przyklęknął na jedno kolano, ale zdziwienie i zaskoczenie popsuły efekt tego uroczystego hołdu. Gestem nakazała mu wstać. Pospiesznie zaprowadził ją do fotela z kości słoniowej, przez cały czas pochylony w głębokim ukłonie. Jednak jego pierwsze słowa były słowami nagany.

- Wasza Wysokość! To w najwyższym stopniu nierozsądne! Na granicy jest niespokojnie! Nieustanne

napady z gór. Wasza Wysokość przybyła z liczną świtą?

- Pokażny orszak towarzyszył mi do Peszkauri - odparła. - Tam zostawiłam moich ludzi i ruszyłam do fortu z dworką imieniem Gitara. Czunder Szan jęknął ze zgrozą.

- Devi! Nie pojmujesz niebezpieczeństwa. O godzinę jazdy stąd góry roją się od barbarzyńców, którzy z morderstw i gwałtów uczynili sobie profesję. Zdarzało się, że na drodze między miastem a fortecą porywano kobiety i zabijano mężczyzn. Peszkauri to nie południowa prowincja...

- Jednak jestem tu, cała i zdrowa - przerwała mu z lekkim zniecierpliwieniem. - Pokazałam mój sygnet strażnikowi przy bramie oraz temu, który stoi przed twoimi drzwiami; pozwolili mi wejść bez zapowiedzi, nie znając mnie, ale podejrzewając, że jestem tajnym kurierem z Ajodii. Nie traćmy już czasu. Masz jakieś wieści od wodza barbarzyńców?

- Żadnych prócz grózb i przekleństw, Devi. Jest ostrożny i podejrzliwy. Uważa, że to pułapka, i chyba trudno go o to winić. Kszatrijasi nie zawsze dotrzymywali obietnic składanych ludziom gór.

- On musi przyjąć moje warunki! - przerwała mu

Jasmina zaciskając pięści, aż zbieleły jej palce.

- Nie rozumiem - gubernator potrząsnął głową. - Kiedy udało mi się pojmać tych siedmiu górali, powiadomiłem o ich schwytaniu wazama, jak każe zwyczaj, i wtedy, zanim zdążyłem ich powiesić, przyszedł rozkaz, by się z tym wstrzymać i porozumieć się z ich wodzem. Tak też uczyniłem, ale on, jak już mówiłem, zachowuje rezerwę. Ci ludzie należą do plemienia Afgulisów, ale on jest przybyszem z Zachodu i zwa go Conanem. Zagroziłem, że powieszę ich jutro o świcie, jeżeli nie przyjdzie.

- Świetnie! - wykrzyknęła Devi. - Dobrze się spisałeś. Powiem ci, dlaczego wydałam takie rozkazy. Mój brat... - powiedziała zduszonym głosem i urwała. Gubernator pochylił głowę w zwyczajowym geście szacunku dla zmarłego monarchy. - Król Vendii padł ofiarą czarów. Poprzysięgam, że poświęcę życie, by ukarać jego morderców. Umierając naprowadził mnie na ślad, za którym poszłam. Przeczytałam Księgę i rozmawiałam z bezimiennymi pustelnikami z jaskiń Jelai. Dowiedziałam się, jak i przez kogo został zamordowany. Zrobili to Czarni Wróżbici z Góry Imsza.

- Asurze! - szepnęły poblady Czunder Szan. Przeszyła

go wzrokiem.

- Boisz się ich?

- Kto się ich nie obawia, Wasza Wysokość? - odparł. - To demony żyjące w bezludnych górach za przełęczą Zaibar. Jednak legendy mówią, że oni rzadko wtrącają się w sprawy zwykłych śmiertelników.

- Nie wiem, dlaczego zabili mojego brata - powiedziała - ale przysięgam na ołtarzu Asura, że ich zniszczę! Potrzebuję pomocy górali. Bez nich kszatrijaska armia nigdy nie dotrze na Imszę.

- Tak - mruknął Czunder Szan. - To szczerza prawda. Musielibyśmy walczyć o każdą piędź ziemi, a włochaci górale zrzucaliby na nas głazy z każdego wzniesienia i podrzynali nam gardła w każdej dolinie. Niegdyś Turańczycy przedarli się przez Himelię, lecz ilu z nich powróciło do Kurusunu? Niewielu z tych, którzy uszli kszatrijaskim mieczom, kiedy król, twój brat, rozbił ich jazdę nad rzeką Jumda, znów ujrzało Sekunderam.

- Zatem muszę podporządkować sobie nadgraniczne plemiona - powiedziała. - Ludzi, którzy znają drogę na Imszę...

- Jednak oni obawiają się Czarnych Wróżbitów i

unikają tej przeklętej góry - przerwał jej gubernator.

- Czy ich wódz, Conan, też się boi Wróżbitów? - spytała.

- No, jeżeli o tym mowa - mruknął gubernator - to wątpię, czy istnieje coś, czego ten wcielony diabeł się boi.

- Tak też mi mówiono. A więc to on jest człowiekiem, o którego mi chodzi. Pragnie uwolnić swych siedmiu ludzi. Bardzo dobrze; ceną za to będą głowy Czarnych Wróżbitów!

Ostatnie słowa wypowiedziała głosem przepojonym nienawiścią, a jej ręce mimowolnie zacisnęły się w pięści. Stojąc z dumnie uniesioną głową i falującymi piersiami wyglądała jak uosobienie pasji.

Gubernator ponownie przyklęknął, wiedząc w swojej mądrości, że kobieta miotana taką burzą uczuć jest równie niebezpieczna dla wszystkich wokół co rozdrażniona kobra.

- Będzie tak, jak Wasza Wysokość sobie życzy - powiedział, a kiedy ochłonęła trochę, wstał i odważył się dodać słowa ostrzeżenia: - Nie mogę przewidzieć, co uczyni Conan. Górale zawsze byli niespokojni, a mam powody, by wierzyć, że emisariusze turańscy podżegają ich do napadów na nasze ziemie. Jak Wasza Wysokość wie, Turańczycy

założyli na północy Sekunderam i inne miasta, chociaż górskie plemiona wciąż nie są podbite. Król Jezdigerd od dawna pożądliwie spogląda na południe i być może zamierza osiągnąć zdradą to, czego nie udało mu się dokonać siłą. Przyszło mi na myśl, że ten Conan może być jednym z jego szpiegów.

- Zobaczymy - odparła. - Jeżeli miłuje swoich ludzi, zjawi się o świcie pod bramą, by rokować. Spędzę tę noc w fortecy. Przyjechałam do Peszkauri w przebraniu, a moją świtę ulokowałam w gospodzie, nie w pałacu. Oprócz nich tylko ty wiesz o moim przybyciu.

- Odprowadzę Waszą Wysokość na kwaterę - powiedział gubernator.

Kiedy wyszli na korytarz, skinął na stojącego przed drzwiami wartownika, który ruszył za nim prezentując broń. Przed gabinetem czekała też dworka, zawołowana tak samo jak jej pani. Cała czwórka poszła szerokim, krętym korytarzem, oświetlonym płomieniami kopających pochodni. Dotarli do pomieszczeń przeznaczonych dla wizytujących notabli - głównie generałów i wicekrólów, bo dotychczas nikt z królewskiej rodziny nie zaszczylił jeszcze fortecy swą obecnością. Czunder Szan miał niepokojące

wrażenie, że pomieszczenie nie jest odpowiednie dla tak wysoko postawionej osobistości jak Devi, i chociaż starała się, by w jej obecności czuł się swobodnie, był zadowolony, gdy go odprawiła. Wyszedł kłaniając się nisko. Całą służbę, jaka była w forcie, wezwał, by zatroszczyła się o gościa i - chociaż nie zdradził, kim jest przybyła - postawił przed jej drzwiami oddział oszczepników, a wśród nich wojownika, który pilnował jego własnej komnaty. Zaaferowany, zapomniał zastąpić go innym żołnierzem.

Nie minęła długa chwila od odejścia gubernatora, gdy Jasmina przypomniała sobie o pewnej sprawie, którą chciała z nim przedyskutować. Chodziło o człowieka zwanego Kerim Szachem, szlachcica z Iranistanu, który przed przybyciem na dwór w Ajodii mieszkał przez jakiś czas w Peszkauri. Niejasne podejrzenia co do tego człowieka podsyciła jego obecność w Peszkauri. Jasmina zastanawiała się, czy Kerim Szach nie śledził jej od Ajodii. Będąc rzeczywiście niezwykłą Devi, nie wezwała gubernatora do siebie, lecz wyszła na korytarz i pospieszyła do jego gabinetu.

Czunder Szan wszedłszy do pokoju zamknął drzwi i

zbliżył się do stołu.

Wziął list, który napisał był do wazama, i podarł go na kawałki. Zaledwie skończył, usłyszał cichy szmer na parapecie za oknem. Podniósł wzrok i na tle rozgwieżdżonego nieba dostrzegł niewyraźną sylwetkę. Do komnaty zwinnie wskoczył jakiś człowiek. W świetle kaganka błysnęło długie ostrze.

- Cii! - ostrzegł go głos. - Nie rób hałasu, bo wyśle diabłu wspornika!

Gubernator opuścił rękę wyciągniętą po leżący na stole miecz. Znał straszliwą szybkość górali i zręczność, z jaką posługiwali się zaibarskimi kindzałami.

Napastnik był wysokim mężczyzną, silnie zbudowanym i zwinnym zarazem. Miał na sobie strój górala, lecz jego posępne rysy i płonące niebieskie oczy nie pasowały do ubioru. Czunder Szan nigdy nie widział kogoś takiego; intruz z pewnością nie należał do żadnej ze wschodnich ras - musiał być barbarzyńcą z dalekiego Zachodu. Jednak jego zachowanie zdradzało naturę równie dziką i nieposkromioną, jak natura długowłosych górali zamieszkujących wyżyny Gulistanu.

- Przychodzisz po nocy jak złodziej - skomentował

gubernator odzyskując trochę pewności siebie, chociaż pamiętał, że w zasięgu głosu nie ma strażników. Jednak góral nie mógł o tym wiedzieć.

- Wdrapałem się na mur bastionu - warknął intruz. - Wartownik w samą porę wystawił głowę nad blanki, tak że mogłem w nią stuknąć rękojęścią kindżału.

- Ty jesteś Conan?

- A któż by inny? Wysyłałeś wieści, że chcesz, abym przybył i paktował z tobą. No więc, na Kroma, przybyłem! Trzymaj się z dala od stołu albo wypruję ci flaki!

- Chcę tylko usiąść - odparł gubernator, ostrożnie opadając na fotel z kości słoniowej, który odsunął od stołu. Conan bez przerwy krążył po pokoju, podejrzliwie spoglądając w kierunku drzwi i próbując kciukiem ostrza swego półmetrowego kindżału. Stapał zupełnie inaczej niż Afgulisi i nie wdając się we wschodnie subtelności powiedział z szorstką bezpośredniością:

- Masz siedmiu moich ludzi. Odmówiłeś przyjęcia okupu, jaki zaofiarowałem. Czego, do diabła, chcesz?

- Porozmawiajmy o warunkach - odparł ostrożnie gubernator.

- Warunkach? - W głosie przybysza pojawiła się

niebezpieczna, gniewna nuta. - O co ci chodzi? Czyż nie zaproponowałem ci złota?

Czunder Szan roześmiał się.

- Złota? W Peszkauri jest więcej złota, niż widziałeś na oczy.

- Jesteś kłamcą - odparował Conan. - Widziałem suk złotników w Kurusunie.

- No, więcej, niż widział ktokolwiek z Afgulisów - poprawił się Czunder Szan. - A to tylko kropla w morzu bogactw Vendii. Dlaczego mielibyśmy pożądać złota? Większą korzyść przyniosłoby nam powieszenie tych siedmiu złodziei.

Conan zaklął siarczyście; mięśnie jego brązowych ramion napięły się jak postronki, a długa klinga zadrżała w zaciśniętej dłoni.

- Rozłupię ci czaszkę jak dojrzały melon!

W oczach górala pojawił się wściekły błysk, lecz gubernator tylko wzruszył ramionami, chociaż nie odrywał oczu od lśniącego ostrza.

- Bez trudu możesz mnie zabić, a pewnie i umknąć. Jednak to nie pomoże tym siedmiu więźniom. Moi ludzie niechybnie powiesiliby ich. A przecież to naczelnicy

Afgulisów.

- Wiem o tym - warknął Conan. - Całe plemię ujada na mnie jak stado wilków, że nie staram się ich uwolnić. Powiedz jasno, czego chcesz, bo - na Kroma! - jeżeli nie będzie innego sposobu, skrzyknę horde i poprowadzę ją pod same bramy Peszkauri!

Widząc gniewny błysk w jego oczach Czunder Szan nie wątpił, że ten stojący przed nim z bronią w ręku barbarzyńca jest do tego zdolny. Gubernator nie wierzył, by nawet najliczniejsza horda górali zdołała zdobyć miasto, ale wcale nie pragnął spustoszenia swej prowincji.

- Jest pewna misja, którą musisz wypełnić - powiedział, dobierając słowa tak ostrożnie, jakby to były brzytwy. - Musisz...

Conan wykrzywił wargi w wilczym grymasie; odskoczył w tył i odwrócił się twarzą do drzwi. Jego wyostrzone ucho pochwyciło cichy szmer zbliżających się kroków. W tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do komnaty wkroczyła smukła postać w jedwabiach. Zamknęła drzwi za sobą i stanęła jak wryta na widok górala.

Czunder Szan zerwał się z fotela; serce podeszło mu do

gardła.

- Devi! - krzyknął bezwiednie, tracąc na moment głowę.

- Devi! - powtórzył jak echo barbarzyńca.

Gubernator dostrzegł błysk w oku Conana i pojął jego zamiary. Krzyknął rozpaczliwie i chwycił za miecz, lecz góral poruszał się z niszczycielską gwałtownością huraganu. Rzucił się na gubernatora i uderzywszy rękojeścią kindżału powalił go na podłogę, po czym muskularnym ramieniem zagarnął oniemiałą Jasmine i skoczył do okna. Czunder Szan, rozpaczliwie próbując się podnieść, przez chwilę widział go na tle nieba, wśród łopoczących jedwabnych spódnic i machających rozpaczliwie kończyn schwytej Devi.

- Spróbuj teraz powiesić moich ludzi! - warknął triumfalnie Conan, skoczył na blanki i zniknął. Gubernator usłyszał przeraźliwy krzyk Jasmine.

- Straż! Straż! - wrzasnął gubernator.

Wstał i słaniając się podbiegł do drzwi. Otworzył je i wytoczył się na korytarz. Echo niosło jego krzyki po korytarzach, sprowadzając wojowników, którzy wytrzeszczali oczy na widok gubernatora trzymającego się

za rozbitą, zakrwawioną głowę.

- Lansjerzy na koń! - ryczał. - Porwanie!

Mimo przerażenia pozostało mu jeszcze dość rozsądku, by nie wyjawiać całej prawdy. Stał jak wryty, słysząc tętent kopyt za oknem, rozpaczliwe wrzaski dziewczyny i triumfalny okrzyk barbarzyńcy.

Pognał schodami w dół, a za nim pobiegli zdumieni strażnicy. Na fortecznym dziedzińcu, przy osiodłanych koniach, zawsze stacjonował oddział lansjerów, w każdej chwili gotowych wyruszyć w pole. Czunder Szan osobiście poprowadził szwadron w pościg za zbiegiem, chociaż w głowie kręciło mu się tak mocno, że musiał oburącz trzymać się łęku siodła. Nie zdradził, kim była porwana; powiedział jedynie, że szlachcianka nosząca królewski sygnet została uprowadzona przez wodza Afgulisów. Wprawdzie porywacz zniknął im z oczu razem ze swoją ofiarą, wiedzieli jednak, którądy pojedzie - drogą wiodącą wprost do wylotu doliny Zaibar. Noc była bezksiężycowa; przyćmione światło gwiazd ukazywało stojące wzdłuż drogi chaty wieśniaków. Czarne kontury fortecznych bastionów i wież Peszkauri zostały za plecami jadących. Daleko przed nimi wznosiły się czarne ściany gór Himelii.

3. Khemsa używa czarów

W rozgardiaszu, jaki zapanował w fortecy, gdy strażników wezwano do broni, nikt nie zauważył, że towarzysząca Devi dworka wyślizgnęła się przez wielką bramę i zniknęła w ciemnościach. Podkasawszy wysoko spódnice pobiegła do miasta. Nie podążyła drogą, lecz na skróty, przez pola i pagórki, omijając płoty i przeskakując przez rowy irygacyjne z wprawą wyćwiczonego biegacza. Zanim dotarła do murów Peszkauri, tętent koni lansjerów ucichł za wzgórzami. Dziewczyna nie podeszła do wielkich wrót, przy których oparci na włóczniach wartownicy wytężali wzrok wpatrując się w ciemność i zastanawiając się nad przyczyną panującego w forcie zamieszania. Poszła wzdłuż muru, aż dotarła do miejsca, z którego mogła zobaczyć wznoszącą się nad blankami wieżę. Wtedy przytknęła dłonie do ust i wydała cichy, niesamowity i dziwnie przenikliwy okrzyk.

Prawie natychmiast zza ambrazury wychyliła się czyjaś głowa i spuszczone lina zakołysała się przy murze. Dziewczyna złapała sznur, włożyła nogę w pętlę na końcu i pomachała ręką. Szybko i gładko wciągnięto ją na

pionową, kamienną ścianę. Już po chwili wgramoliła się na blanki i stanęła na płaskim dachu domu zbudowanego przy murze otaczającym Peszkauri. Przy otwartej klapie mężczyzna w todze z wielbłądziej wełny spokojnie związał linę, niczym nie okazując, by wciągnięcie dorosłej kobiety na piętnastometrową ścianę przyszło mu z trudem.

- Gdzie Kerim Szach? - wysapała, zdyszana po długim biegu.

- Śpi na dole. Przynosisz wieści?

- Conan porwał Devi z fortecy i zabrał ją w góry! - wypaliła, niemal połykając słowa w pośpiechu.

Twarz Khemsy nie zdradzała żadnych uczuć; kiwnął tylko owiniętą turbanem głową i powiedział:

- Kerim Szach będzie zadowolony, kiedy się o tym dowie.

- Czeka! - Dziewczyna zarzuciła mu ręce na szyję. Dyszała ciężko, nie tylko z wysiłku. Jej oczy płonęły w mroku jak dwa czarne diamenty. Uniesioną w górę twarz przysunęła do twarzy Khemsy, który wprawdzie przyjął jej uścisk, ale nie odwzajemnił go. - Nie mów nic Hyrkańczykowi! - wysapała. - Wykorzystajmy tę wiadomość dla siebie! Gubernator i jego ludzie pojechali w

góry, ale równie dobrze mogliby ścigać ducha. Czunder Szan nie powiedział nikomu, że to Devi została porwana. Oprócz nas nikt w Peszkauri i w forcie o tym nie wie.

- Jaki z tego pożytek dla nas? - rozważał mężczyzna. - Moi panowie wysłali mnie z Kerim Szachem, abym dopomagał mu w każdy...

- Dopomóż sobie! - krzyknęła z pasją. - Zrzuć jarzmo!

- Chcesz powiedzieć... Mam okazać nieposłuszeństwo moim panom? - wyjąkał i przyciśnięta do niego dziewczyna poczuła, że zimny dreszcz wstrząsa całym jego ciałem.

- Tak! - potrząsnęła nim wściekle. - Ty też jesteś czarodziejem! Dlaczego masz być niewolnikiem, używać swej mocy tylko po to, by wynosić innych? Użyj swej sztuki dla siebie!

- Nie wolno mi! - Khemsa dygotał jak w febrze. - Nie należę do Czarnego Kręgu. Tylko na rozkaz moich panów ośmielam się korzystać z wiedzy, jaką dzięki nim posiadam.

- Ale możesz ją wykorzystać lepiej! - przekonywała go namiętnie. - Zrób, o co proszę! To oczywiste, że Conan porwał Devi, aby trzymać ją jako zakładniczkę i wymienić na siedmiu naczelników uwięzionych przez gubernatora.

Zabij ich, żeby Czunder Szan nie mógł posłużyć się nimi do wykupienia Devi. Potem udamy się w góry i odbierzemy ją Afgulisom. Noże nie pomogą im przeciw twoim czarom. Weźmiemy okup; skarby vendiańskich królów będą nasze, a kiedy będziemy je mieli, okpiemy Kszatrijasów i sprzedamy Devi królowi Turanu. Będziemy bogatsi niż w najśmielszych marzeniach! Będziemy mogli opłacić wojowników. Zajmiemy Korbul, wypędzimy Turańczyków z gór i wyślemy nasze wojska na południe. Zostaniemy władcami imperium!

Khemsa też zaczął dyszeć, trzęsąc się jak liść w jej uścisku; wielkie krople potu spływały mu po poszarzałej twarzy.

- Kocham cię! - krzyknęła dziko, wijąc się w jego ramionach, ściskając go mocno i gwałtownie nim potrząsając. - Uczynię cię królem! Z miłości do ciebie zdradziłam swoją panią; z miłości do mnie zdradź swoich mistrzów! Czemu obawiasz się Czarnych Wróżbitów? Kochając mnie, już złamałeś jedno z ich praw! Złam inne! Jesteś równie potężny jak oni!

Nawet człowiek z lodu nie wytrzymałby żaru namiętności i pasji bijącego z jej słów. Z nieartykułowanym

krzykiem Khemsa przycisnął dziewczynę do siebie, odchylając jej głowę w tył i zasypując gradem pocałunków.

- Zrobię to! - powiedział ochryplym z emocji głosem. Chwiał się jak pijany. - Moc, którą obdarzyli mnie moi mistrzowie, posłuży nie im, lecz mnie! Będziemy władać światem! Światem...

- Chodź więc! - uwolniwszy się delikatnie z jego objęć złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku otworu w dachu. - Najpierw musimy się upewnić, że gubernator nie wymieni tych siedmiu Afgulisów na Devi.

Khemsa poszedł za nią jak w transie; zeszli po drabinie i znaleźli się w niewielkiej komnacie. Kerim Szach leżał nieruchomo na łożu, osłaniając twarz zgiętym ramieniem, jakby raziło go łagodne światło mosiężnej lampy. Dziewczyna złapała Khemse za rękę i szybkim gestem przesunęła dłoń po swojej szyi. Khemsa podniósł rękę; lecz zaraz wyraz jego twarzy zmienił się. Potrząsnął głową.

- Jadłem jego sól - mruknął. - Poza tym on nam nie może przeszkodzić.

Wyszedł z dziewczyną przez drzwi prowadzące na wąskie, kręte schody. Gdy lekkie kroki ucichły, Kerim Szach podniósł się z łoża. Otarł pot z czoła. Nie lękałby się

pchnięcia nożem, ale Khemсы bał się jak jadowitego gada.

- Ludzie spiskujący na dachach powinni pamiętać o ściszeniu głosu - mruknął. - Khemsa zwrócił się przeciw swoim panom, a ponieważ tylko przez niego mogłem się z nimi porozumiewać, nie mogę już liczyć na ich pomoc. Od tej pory będę działał na własną rękę.

Wstał, szybko podszedł do stołu, wyjął z za pasa pióro i pergamin, po czym skreślił kilka zwięzłych zdań:

*Do Kosru Chana, gubernatora Sekunderamu:
Cymerianin Conan porwał Devi Jasminę do wioski Afgulisów. Nadarza się sposobność schwytania Devi, czego od tak dawna pragnie król. Wyślij natychmiast trzy tysiące jezdnych. Będę ich oczekiwał z przewodnikami w Dolinie Guraszah.*

Skończywszy podpisał list nazwiskiem, które nawet nie przypominało nazwiska Kerim Szach.

Potem wyjął ze złotej klatki gołębia i cienkim drutem umocował mu do nogi zwinięty w małą tulejkę pergamin. Następnie podszedł szybko do okna i wypuścił ptaka w noc. Gołąb zatrzepotał skrzydłami, złapał

równowagę i zniknął w mroku jak śmigły cień. Chwyciwszy płaszcz, hełm i miecz Kerim Szach wypadł z komnaty i zbiegł po krętych schodach.

Budynek więzienia w Peszkauri był odgradzony od reszty miasta potężnym murem, za który prowadziły tylko jedne, osadzone w łukowatym portalu i okute żelazem wrota. W zawieszonym nad portalem kagańcu płonęły smolne szczapy, a przy drzwiach siedział w kucki wartownik z tarczą i oszczepem, opierając czoło o drzewce swej broni i poziewując od czasu do czasu. Nagle strażnik zerwał się na równe nogi. Dałby głowę, że nawet nie zmrużył oka, a jednak stanął przed nim człowiek, którego nadejścia nie zauważył. Mężczyzna ten miał na sobie togę z wielbłądziej wełny i zielony turban. Migotliwe światło pochodni rzucało na jego twarz cienie, w których jarzyła się para dziwnie błyszczących oczu.

- Kto tam? - spytał wartownik nastawiając włócznię. - Kim jesteś? Przybysz nie okazywał zmieszania, chociaż grot oszczepu dotknął jego piersi. Z niezwykłą intensywnością wpatrywał się w wojownika.

- Co masz zrobić? - spytał nagle.

- Strzec bramy! - odparł mechanicznie wartownik zduszonym głosem; stał bez ruchu jak posąg, a jego spojrzenie stało się szkliste i nieobecne.

- Kłamiesz! Masz słuchać mnie! Popatrzyłeś mi w oczy i twoja dusza już nie należy do ciebie. Otwórz te drzwi!

Sztywno, z twarzą zastygłą w grymasie zdziwienia, strażnik odwrócił się, wydobył z za pasa wielki klucz, przekręcił go w olbrzymim zamku i szeroko otworzył bramę. Później stanął na baczność, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Z cienia wysunęła się kobieta i niecierpliwie położyła rękę na ramieniu hipnotyzera.

- Każ mu, by przyprowadził nam konie, Khemsa - szepnęła.

- Nie ma potrzeby - odparł Khemsa. Podnosząc nieznacznie głos powiedział do wartownika: - Spełniłeś swe zadanie! Zabij się!

Wojownik jak w transie oparł koniec włóczni o ziemię tuż przy ścianie i przytknął wąski grot do swego brzucha, poniżej żeber. Wolno, flegmatycznie opadł na nią całym ciężarem, tak że ostrze przeszło na wylot i wyszło mu między łopatkami. Ciało ześliznęło się po drzewcu i legło

spokojnie, z włócznieą sterczącą wysoko w górę, jak łodyga jakiegoś straszliwego drzewa.

Dziewczyna patrzyła na to z posępną fascynacją, aż Khemsa chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Pochodnie oświetlały wąską przestrzeń między murem zewnętrznym i wewnętrznym, który był niższy i zaopatrzony w szereg nieregularnie rozmieszczonych drzwi. Patrolujący ten teren wojownik podszedł wolnym krokiem do otwierającej się bramy, czując się tak bezpiecznie, że niczego nie podejrzewał do chwili, gdy Khemsa i dziewczyna wyłonili się z przejścia. Wtedy było już za późno. Khemsa nie tracił czasu na hipnotyzowanie ofiary, ale jego towarzysze i tak' wydawało się, że jest świadkiem czarów. Strażnik groźnie zamierzył się włócznieą i otworzył usta do ostrzegawczego krzyku, który ściągnąłby rój oszczepników z wartowni, lecz Khemsa lewą ręką odbił drzewce w bok, jak słomkę, a jego prawa ręka zatoczyła krótki łuk, jakby mimochodem muskając szyję wojownika. Strażnik runął ze złamanym karkiem na bruk nie wydawszy nawet jęku.

Khemsa nie zwracał już na niego uwagi. Podszedł do pierwszych z brzegu drzwi i oparł otwartą dłoń o masywny zamek z brązu. Drzwi ustąpiły z rozdzierającym uszy

trzaskiem. Idąca za Khemsa dziewczyna zobaczyła, że grube, tekowe drewno poszło w drzazgi, brązowe rygle zostały wygięte i wyrwane z gniazd, a wielkie zawiasy są złamane i wykrzywione. Czterdziestu mężczyzn uderzających tysiącfuntowym taranem nie spowodowałoby większego zniszczenia. Pijany wolnością Khemsa korzystał ze swej mocy, ciesząc się nią i nadużywając jej, jak młody olbrzym z niepotrzebnym wigorem wykorzystuje siłę swych mięśni w ryzykownych wyczynach.

Wyłamane drzwi prowadziły na mały dziedziniec, oświetlony blaskiem pochodni. Naprzeciw zobaczyli grubą kratę z żelaznych prętów. Dostrzegli zaciśniętą na kracie owłosioną dłoń i białka błyszczących w ciemności oczu.

Khemsa przez chwilę stał bez ruchu, spoglądając w mrok, z którego odpowiadało mu spojrzenie pałających źrenic. Później sięgnął za pazuchę i sypnął na bruk garść lśniącego i skrzącego się pyłu. Buchnął zielony ogień, oświetlając dziedziniec. Błysk ukazał sylwetki siedmiu ludzi stojących nieruchomo za kratą, uwidaczniając każdy szczegół ich obszarpanych góralskich strojów i orle rysy zarośniętych twarzy. Żaden nie odezwał się, ale w oczach mieli lęk i owłosionymi rękami mocno ściskali pręty.

Ogień zgasł, ale blask pozostał; drżąca kula lśniącej zieleni, pulsująca i drgająca na kamieniach u stóp Khemсы. Więźniowie nie mogli oderwać od niej oczu. Kula wydłużyła się z wolna, zmieniła w spiralę jasno świecącego, zielonkawego dymu, który wił się i skręcał jak olbrzymia zmija rozprostowująca błyszczące, falujące sploty. Ta wstęga nagle przekształciła się w obłok cicho sunący po bruku - prosto w kierunku kraty. Więźniowie patrzyli na to szeroko otwartymi ze strachu oczami; pręty drżały w rozpaczliwym uścisku ich palców. Z rozchylnych ust górali nie wydobył się żaden dźwięk. Zielona chmura dotarła do kraty, kryjąc ją przed wzrokiem dziewczyny. Jak mgła przesączyła się przez pręty i spowiła górali. Z gęstych kłębów dobiegł zduszony jęk, jakby pogrążającego się w wodzie człowieka. To było wszystko.

Khemsa dotknął ramienia dziewczyny, patrzącej na to szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Odwróciła się i mechanicznie poszła za nim, oglądając się jeszcze przez ramię. Opar już rzedniał; tuż przy kracie widać było parę obutych w sandały stóp, skierowanych w górę, a także niewyraźne zarysy siedmiu nieruchomych, bezładnie rozrzuconych ciał.

- A teraz dosiędziemy wierzchowca szybszego od każdego z koni wyhodowanych w stajniach śmiertelników - rzekł Khemsa. - Będziemy w Afgulistanie przed świtem.

4. Spotkanie na przełęczy

Devi Jasmina nigdy nie mogła sobie przypomnieć szczegółów swego porwania. Zaskoczenie i szybkość, z jaką potoczyły się wydarzenia, oszołomiły ją; tylko oderwane wrażenia utkwily jej w pamięci: obezwładniający uścisk potężnego ramienia, płonące oczy porywacza i jego gorący oddech palący jej szyję. Skok przez okno na blanki; szaleńcza ucieczka po murach i dachach, kiedy sparaliżował ją lęk przed upadkiem; później zuchwałe ześlizgnięcie się po linie przywiązanej do angułu (porywacz opuścił się po niej błyskawicznie, trzymając ofiarę bezwładnie przewieszoną przez ramię) - wszystko to pozostawiło w pamięci Devi tylko niewyraźny ślad. Nieco lepiej pamiętała szybki bieg niosącego ją z dziecinną łatwością człowieka, cień drzew i skok na siodło dziko rżącego i parskającego bałkańskiego ogiera. Później szalony pęd i łomot kopyt krzesających iskry na kamienistej drodze wiodącej przez wzgórze.

Gdy odzyskała jasność myśli, pierwszym jej uczuciem była szalona wściekłość i wstyd. Była przerażona. Władcy złotych królestw na południe od Himelii byli uważani

nieomal za bogów; a ona przecież była Devi Vendii! Niepohamowany gniew przytłumił strach. Krzyknęła dziko i zaczęła się wyrywać. Ona, Jasmina, przerzucona przez łęk siodła góralskiego naczelnika jak zwykła dziewczka z targowiska! Conan tylko nieco mocniej zacisnął żylaste ramiona i Jasmina po raz pierwszy w życiu została siłą zmuszona do posłuszeństwa. Jego ręce otaczały żelaznym uściskiem kibić dziewczyny. Spojrzał na nią i uśmiechnął się szeroko. W świetle gwiazd błysnęły białe zęby. Luźno puszczony wodze leżały na powiewającej grzywie ogiera, który mknął po usianym głazami szlaku napinając wszystkie mięśnie i ścięgna z wysiłku. Jednak Conan bez trudu, niemal niedbale, utrzymywał się w siodle, jadąc jak centaur.

- Psie! - wykrztusiła Jasmina trzęsąc się z gniewu, wstydu i bezsilności. - Ośmielasz się... ośmielasz! Zapłacisz za to głową! Dokąd mnie wiesz?

- Do wiosek Afgulisów - odparł, oglądając się przez ramię.

W dali, za wzgórzami, przez które przejechali, na murach fortecy migotały płomyki pochodni: dostrzegł też błysk światła świadczący o tym, że otwarto wielką bramę.

Conan wybuchnął gromkim śmiechem, huczącym jak górski potok.

- Gubernator wysłał za nami jeźdźców - rzekł z rozbawieniem. - Na Kroma, zabierzemy go na miłą przejażdżkę! Jak myślisz, Devi, chyba wymienią siedmiu górali za kszatrijaską księżniczkę?

- Raczej wyślą armię, by powiesić cię razem z twoimi diabelskim pomiotem - obiecała mu z przekonaniem.

Zaśmiał się serdecznie i przycisnął ja mocniej do siebie, sadzając w wygodniejszej pozycji. Jednak Jasmina uznała to za nową zniewagę i wznowiła daremne szamotania, dopóki nie stwierdziła, że to go tylko rozśmiesza. Ponadto, wskutek szamotaniny, jej zwiewne, łopoczące na wietrze jedwabne szaty były w okropnym nieładzie. Doszła do wniosku, że godniej będzie zachować wyniosłą powagę i pogrążyła się w gniewnym milczeniu.

Jednak podziw zajął miejsce gniewu, kiedy dotarli do wylotu doliny Zaibar, ziejącego niczym wyrwa w jeszcze ciemniejszych ścianach skalnych, które zagroziły im drogę jak kolosalne szance. Wydawało się, że jakiś gigantyczny nóż wyciął to przejście w litej skale. Po obu stronach wznosiły się na setki stóp strome zbocza, kryjąc wylot

doliny w głębokim cieniu. Nawet Conan niewiele mógł dostrzec w tych ciemnościach, lecz wiedząc, że ścigają go jeźdźcy z fortu, i na pamięć znając drogę nie wstrzymywał konia. Wielkie zwierzę nie zdradzało jeszcze oznak zmęczenia. Przemknęli jak błyskawica drogą biegnącą dnem doliny, wspięli się na stok" i przebyli niską grań, po której obu stronach zdradliwe łupki czyhały na nieostrożny krok, po czym wypadli na szlak ciągnący się wzdłuż lewej ściany wąwozu.

W gęstym mroku nawet Conan nie mógł dostrzec zasadzki zastawionej przez zaibarskich górali. Właśnie przejeżdżał obok ciemnego wylotu jednego z bocznych parowów, gdy w powietrzu świsnął oszczep i z głuchym stuknięciem wbił się w bok galopującego rumaka. Wielki ogier zarżał przeraźliwie, potknął się i w pełnym biegu runął na ziemię. Jednak Conan spostrzegł lecący oszczep i zareagował z szybkością błyskawicy.

Zeskoczył z padającego konia trzymając dziewczynę w ramionach, by nie poraniła się o głazy. Spadł na nogi jak kot, wepchnął brankę w rozpadlinę i odwrócił się wyciągając kindżał.

Jasmina, zbita z tropu gwałtownością wydarzeń, nie

wiedząc nawet, co się właściwie stało, zobaczyła niewyraźny kształt wyłaniający się z ciemności, usłyszała tupot bosych nóg na skale i szmer ocierających się o ciało łachmanów. Dostrzegła błysk stali, krótką wymianę ciosów i w mroku rozległ się ohydny chrzęst, gdy kindżał Conana rozłupał czaszkę przeciwnika.

Cymerianin odskoczył i przyczaił się pod osłoną skał. W mroku dało się słyszeć jakieś poruszenie i nagle stentorowy głos ryknął:

- Cóż to, psy? Chcecie umknąć? Naprzód, przekłęci! Brać ich! Conan drgnął, spojrział w ciemność i krzyknął:

- Czy to ty, Jar Afzalu?

Usłyszeli okrzyk zdumienia i ciche pytanie: - Conan? To ty?

- Tak! - zaśmiał się Cymerianin. - Chodź tu, stary zbójcu. Zabiłem jednego z twoich ludzi.

Wśród skał wszczęło się zamieszanie, zamigotał płomyk, urósł w jasny płomień pochodni i zbliżył się do nich migocząc. W miarę jak się zbliżał, z ciemności wyłaniała się brodata twarz. Człowiek trzymający pochodnię podniósł ją wysoko i wyciągnął szyję wpatrując się w labirynt głazów; w drugiej ręce dzierżył wielką,

zakrzywioną szablę. Conan wysunął się naprzód chowając swój kindżał, a nieznajomy zobaczywszy go ryknął radośnie.

- Tak, to Conan! Wyjdźcie zza skał, psy! To Conan!

W kręgu wątego światła pojawili się inni: dzicy, obszarpani, brodaci mężczyźni o ponurych spojrzeniach, z długimi nożami w dłoniach. Nie spostrzegli Jaśminy, bo Cymerianin zasłaniał ją swym potężnym ciałem. Zerkająca zza tej osłony dziewczyna po raz pierwszy tej nocy poczuła lodowaty dreszcz strachu. Ci mężczyźni byli bardziej podobni do wilków niż do ludzi.

- Na co tak polujesz nocą, Jar Afzalu? - pytał Conan tęgiego wodza, który wyszczerzył zęby jak brodaty upiór.

- Kto wie, co się może trafić po zmroku? My, Wazulisi, jesteśmy ptakami nocy. A co z tobą, Conanie?

- Mam branke - odparł Cymerianin i odsuwając się na bok odsłonił skuloną Devi. Sięgnąwszy długim ramieniem w rozpadlinę wyciągnął drżącą Vendiankę.

Jasmina straciła swą wyniosłą pozę. Bojaźliwie spoglądając na otaczający ją krąg brodatych twarzy, czuła coś na kształt wdzięczności wobec człowieka, który obejmował ją gestem właściciela. Ktoś przysunął pochodnię

blizej i dały się słyszeć głośnie sapnięcia, gdy na widok dziewczyny góralom zaparło dech w piersiach.

- To moja branka - ostrzegł Conan spoglądając znacząco na człowieka, którego zabił, leżącego tuż za kręgiem światła. - Jechałem z nią do Afgulistanu, ale zabiliście mi konia, a Kszatrijasi są tuż za mną.

- Jedź z nami do naszej wioski - zaproponował Jar Afzal. - W wąwozie mamy ukryte konie. Nie zdołają nas wytropić w ciemnościach. Mówisz, że są tuż za wami?

- Tak blisko, że słyszę już stuk kopyt na kamieniach - odparł ponuro Conan.

Wazulisi nie tracili czasu; natychmiast zgaszono pochodnię i obszarpane postacie wtopiły się w mrok. Conan porwał Devi w ramiona; nie opierała się. Ostre kamienie raniły jej delikatne, obute w miękkie pantofelki stopy; czuła się słaba i bezbronna wśród głębokich ciemności panujących pod tymi kolosalnymi, poszarpanymi turniami.

Czując, jak dygocze w zimnych podmuchach jęczącego w wąwozie wiatru, Conan zerwał z ramion wystrzępiony płaszcz i owinał nim dziewczynę. Jednocześnie ostrzegawczo syknął jej do ucha, nakazując milczenie. Wprawdzie nie słyszała cichego stukotu kopyt, który

pochwycili czułym uchem górale, lecz była zbyt wystraszona, by nie usłuchać.

Nie widziała niczego prócz kilku zamglonych gwiazd wysoko w górze, ale po gęstniejącym mroku poznała, że znaleźli się w ciasnym parowie. Usłyszała jakieś szmery, niespokojne poruszenia koni. Po krótkiej wymianie zdań Conan dosiadł wierzchowca wojownika, którego zabił. Podniósł dziewczynę i posadził ją przed sobą. Cicho jak zjawy całą bandą wyjechali z wąwozu. Za nimi na szlaku pozostał martwy koń i zabity mężczyzna, których pół godziny później znaleźli jeźdźcy z fortu. Rozpoznali w wojowniku Wazulisa i wyciągnęli odpowiednie wnioski.

Wtulona w ramiona swego porywacza Jasmina nie mogła opanować senności. Mimo nierówności drogi, wznoszącej się i opadającej na przemian, konna jazda miała pewien rytm, który w połączeniu ze zmęczeniem i oszołomieniem spowodowanym nadmiarem wrażeń sprowadzał nieprzewyciężoną potrzebę snu. Jasmina zupełnie straciła poczucie czasu i kierunku. Jechali w kompletnych ciemnościach, w których od czasu do czasu dostrzegała niewyraźne zarysy gigantycznych ścian skalnych, wznoszących się niczym czarne bastiony lub

wielkie turnie sięgające gwiazd; czasem wyczuwała pustkę ziejących w dole przepaści i przenikał ją lodowaty podmuch wiejącego wśród niebotycznych szczytów wiatru. Stopniowo wszystko okrył miękki opar snu, tak że stuk końskich kopyt i chrzęst uprzęży wydawały się nierealnymi odgłosami z sennych majaków.

Jasmina z trudem uświadomiła sobie, że ktoś ją ściąga z konia i wnosi po schodach. Później położono ją na czymś miękkim i szeleszczącym, podłożono coś - chyba zwinięty płaszcz - pod głowę i troskliwie otulono szatą, którą przedtem owinął ją Conan. Usłyszała śmiech Jar Afzala.

- To cenna zdobycz, Conanie. Godna wodza Afgulisów.

- Nie wziąłem jej dla siebie - padła burkliwa odpowiedź. - Za tę dziewczkę wykupię z więzienia moich siedmiu naczelników, niech ich diabli!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszała, nim zapadła w głęboki sen.

Spała, gdy zbrojni jeźdźcy przemierzali pogrążone w mroku góry i ważyły się losy królestwa. Tej nocy mroczne wąwozy i parowy rozbrzmiewały brzękiem podków galopujących rumaków, światła gwiazd odbijały się w

hełmach i zakrzywionych ostrzach, a niesamowite stwory nawiedzające poszarpane szczyty wyglądały zza skał, nie wiedząc, co się dzieje.

Kilka takich widmowych postaci na wychudłych koniach przyczaiło się w nieprzeniknionych ciemnościach parowu, czekając, aż tętent kopyt ucichnie w dali. Ich przywódca, dobrze zbudowany mężczyzna w hełmie i przetykanym złotem płaszczu, ostrzegawczo podniósł w górę dłoń, trzymając ją tak, dopóki jeźdźcy nie przejechali. Później zaśmiał się cicho.

- Musieli zgubić ślad! Albo dowiedzieli się, że Conan dotarł już do wiosek Afgulisów. Będzie potrzeba wielu jeźdźców, by wykurzyć go z tej lisiej nory. O świcie pojawi się tu wiele szwadronów.

- Jeśli będzie walka, będą też łupy - mruknął ktoś za jego plecami, mówiąc dialektem irakzajskim.

- Będą łupy - odparł człowiek w hełmie - lecz najpierw musimy dotrzeć do Doliny Guraszah i zaczekać na jazdę, która jeszcze przed świtem wyruszy z Sekunderamu.

Spiął konia i wyjechał z parowu, a jego ludzie ruszyli w ślad za nim - jak trzydzieści obszarpanych zjaw.

5. Czarny ogier

Kiedy Jasmina obudziła się, słońce było już wysoko na niebie. Dziewczyna nie zerwała się, tocząc pustym spojrzeniem i zastanawiając się, gdzie jest. Zbudziła się w pełni świadoma tego, co się stało. Wszystkie kości bolały ją od długiej jazdy, a jej jędrne ciało wciąż jeszcze odczuwało uścisk muskularnego ramienia mężczyzny, który uwiózł ją tak daleko.

Leżała na owczej skórze przykrywającej barłóg z liści rzuconych na podłogę z mocno udeptanej gliny. Pod głową miała zwinięty kozuch, a okrywał ją wystrzępiony płaszcz. Znajdowała się w dużym pomieszczeniu o nierównych, lecz grubych ścianach z nie ociosanych głazów spojonych wysuszonym na słońcu błotem. Potężne belki podtrzymywały taki sam sufit, w którym zauważyła zasłonięty kłapą właz. W grubych ścianach nie było okien, tylko wąskie strzelnice. Były jedne drzwi; solidna płyta z brązu, niewątpliwie zrabowana z jakiejś vendiańskiej wieży strażniczej. Naprzeciw nich widniał szeroki otwór, zamknięty kilkoma mocnymi, drewnianymi prętami. Za nimi Jasmina ujrzała wspaniałego czarnego ogiera

przezuwającego suche siano. Budynek służył za fortecę, mieszkanie i stajnię jednocześnie.

W drugim końcu pomieszczenia dziewczyna w kaftanie i workowatych góralskich spodniach kucnęła przy małym ognisku, smażąc paski mięsa na żelaznym ruszcie opartym na kamieniach paleniska. Kilka stóp nad podłogą, w suficie, był okopcony otwór, przez który uchodziła część dymu. Reszta unosiła się niebieskawymi pasemkami w komnacie.

Góralka zerknęła przez ramię na Jasmine, ukazując twarz o śmiałych, urodziwych rysach, po czym wróciła do swego zajęcia. Na zewnątrz dały się słyszeć męskie głosy i po chwili do chaty wszedł Conan, otworzywszy kopniakiem drzwi. Światło poranka opromieniło jego olbrzymią postać i Jasmina dostrzegła kilka szczegółów, których nie mogła zauważyć w nocy. Jego strój był czysty i nie obszarpany. Szerokiego, bakariockiego pasa, za którym tkwił kindzał w ozdobnej pochwie, nie powstydzilby się książę, a rozchylona koszula ukazywała stal turańskiej kolczugi.

- Twoja branka obudziła się, Conanie - powiedziała Wazuliska. Cymerianin mruknął coś pod nosem, podszedł do ognia i zgarnął paski baraniny na kamienny talerz.

Przykucnięta nad ogniskiem góralka uśmiechnęła się do niego i rzuciła jakiś soczysty dowcip, na co on odpowiedział wyszczerzeniem zębów i zaczepiwszy nogą o jej biodro wywrócił dziewczynę na ziemię. Wyglądało na to, że te niewybredne żarty sprawiają Wazulisce przyjemność, ale Conan nie zwracał już na nią uwagi. Wydobywszy skądś wielką pajdę chleba i miedziany dzban z winem, zaniósł wszystko Jaśminie, która podniosła się z posłania i spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To kiepski wikt jak na Devi, dziewczyno, ale lepszego nie mamy - mruknął. - W każdym razie napelni ci żołądek.

Postawił miskę na ziemi i nagle Jasmina uświadomiła sobie, że jest okropnie głodna. Bez słowa usiadła ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i postawiwszy miskę na podółku zaczęła jeść palcami, które musiały jej teraz zastąpić sztućce. Mimo wszystko umiejętność przystosowania się to jedna z cech prawdziwego arystokraty. Conan stał z rękami założonymi za pas, patrząc na nią z góry. Nigdy nie siadał na wschodni sposób, ze skrzyżowanymi nogami.

- Gdzie jestem? - spytała nagle.

- W chacie Jar Afzala, wodza Kurum Wazulisów -

odparł. - Afgulistan leży dobre parę mil na zachód stąd. Zostaniemy tu przez jakiś czas. Kszatrijasi przeczesują góry szukając ciebie; górale wyrznęli już kilka oddziałków.

- Co zamierzasz? - spytała.

- Zatrzymać cię, aż Czunder Szan zgodzi się wypuścić moich siedmiu bydłokradów - mruknął. - Kobiety Wazulisów wyciskają atrament z liści szoki i już niedługo będziesz mogła napisać list do gubernatora.

Nagły przyływ gniewu wstrząsnął Jasmina, gdy pomyślała o złośliwym kaprysie losu, który sprawił, że jej plany obróciły się wniwecz, i uczynił ją więźniem tego właśnie człowieka, którego zamierzała pochwycić w sieć swych intryg. Odrzuciła miskę z resztkami posiłku i zerwała się na równe nogi, zaciskając zęby ze złości.

- Nie napiszę żadnego listu! Jeśli nie odwieziesz mnie z powrotem, powieszą twoich siedmiu ludzi i jeszcze tysiąc innych!

Wazuliska parsknęła drwiącym śmiechem, a Conan zmarszczył groźnie brwi; wtedy otworzyły się drzwi i wmaszerował Jar Afzal. Wódz Wazulisów był równie wysoki jak Conan i potężniejszej postury, ale przy muskularnym Cymerianinie wydawał się tłusty i

nieruchawy. Poglądził rudawą brodę i spojrzał znacząco na góralkę, która niezwłocznie wstała i opuściła chatę. Jar Afzal zwrócił się do kompana:

- Te przeklęte psy szemrzą, Conanie - rzekł. - Chcą, żebym cię zabił i wziął okup za dziewczynę. Mówią, że to szlachcianka, co każdy może poznać po jej stroju. Pytają, czemu afgulskie psy mają skorzystać, jeżeli to my ryzykujemy chowając ją w naszej wiosce?

- Pożycz mi konia - rzekł Conan. - Wezmę ją i odjadę.

- Phi! - prychnął Jar Afzal. - Myślisz, że nie potrafisz utrzymać w ryzach moich ludzi? Każę im tańczyć w samych koszulach, jeśli mnie zdenerwują. Nie kochają cię, to prawda - tak samo jak wszystkich cudzoziemców - ale ja dobrze pamiętam, że kiedyś uratowałeś mi życie. Chodźmy do nich, Conanie; właśnie wrócił zwiadowca.

Conan podciągnął pas i wyszedł z wodzem na zewnątrz. Zamknęli drzwi za sobą. Jasmina zerknęła przez strzelnicę. Zobaczyła otwartą przestrzeń oraz rząd chat z kamieni i błota, nagie dzieci bawiące się wśród głazów i wysokie, smukłe góralki, zajęte swoimi obowiązkami.

Tuż przed chatą wodza ujrzała krąg silnie zarośniętych, obszarpanych mężczyzn, siedzących na ziemi

i twarzami zwróconych do drzwi. Kilka stóp przed nimi stał Conan z Jar Afzalem, słuchając siedzącego ze skrzyżowanymi nogami mężczyzny. Wojownik mówił do wodza chrapliwym, wazuliskim dialektem, który Jasmina z trudem mogła zrozumieć, chociaż częścią edukacji, jaką odebrała, była nauka języków Iranistanu i pokrewnych dialektów gulistańskich.

- Rozmawiałem z Dagozaninem, który zeszłej nocy widział gromadę jeźdźców - rzekł zwiadowca. - Czaił się w pobliżu miejsca, gdzie wódz Conan natknął się na naszą zasadzkę. Dagozanin słyszał, co mówili przejeżdżający. Był wśród nich Czunder Szan. Znaleźli zabitego konia i jeden z żołnierzy rozpoznał, że to wierzchowiec Conana. Znaleźli też trupa wazuliskiego wojownika. Doszli do wniosku, że Wazulisi zabili Conana i porwali dziewczynę, tak więc porzucili zamiar ścigania go do Afgulistanu. Jednak nie wiedzieli, z której wioski pochodził martwy wojownik, a my nie zostawiliśmy śladów, którymi mógłby podążać Kszatrijas. Tak więc pojechali do najbliższej wioski Wazulisów, do Jugry, spalili ją i zabili wielu ludzi. Jednak wojownicy Kojura wpadli na nich w ciemnościach, zadając im ciężkie straty i raniąc gubernatora. Pozostali Kszatrijasi

umknęli pod osłoną nocy do Doliny Zaibar, ale jeszcze przed wschodem słońca wrócili z posiłkami i od rana w górach toczą się walki. Mówią, że Vendianie zbierają wielką armię, by oczyścić góry wokół Zaibaru. Wojownicy wszystkich plemion ostrzą noże i szykują zasadzki na każdej przełęczy, aż po Dolinę Guraszah. Ponadto Kerim Szach powrócił w góry.

Wokół rozległy się ciche pomruki i Jasmina nachyliła się bliżej do otworu, słysząc nazwisko człowieka, który budził jej podejrzenia.

- Dokąd się udał? - spytał Jar Afzal.

- Dagozanin nie wiedział. Ma ze sobą trzydziestu Irakzajczyków z niżej położonych wiosek. Pojechali i zniknęli gdzieś w górach.

- Irakzajczycy to szakale czyhające na okruchy z lwiej paszczy - warknął Jar Afzal. - Rzucają się na pieniądze, które Kerim Szach rozrzuca garściami wśród nadgranicznych plemion, kupując ludzi jak konie. Nie lubię go, mimo że jest naszym krewniakiem z Iranistanu.

- Nie jest - powiedział Conan. - Znam go od dawna. To Hyrkańczyk, szpieg Jezdigerda. Jeśli go złapię, powieszę jego skórę na tamaryszku.

- Ale Kszatrijasi! - wykrzyknął jeden z siedzących w półokręgu wojowników. - Mamy siedzieć na tyłkach i czekać, aż nas stąd wykurzą? W końcu dowiedzą się, w której wiosce jest trzymana dziewczyna. Zaibarczycy nie kochają nas; pomogą Kszatrijasom.

- Niech tu przyjadą - mruknął Jar Afzal. - Utrzymamy wąwozy przeciw konnicy.

Jeden z mężczyzn zerwał się na nogi i pogroził Conanowi pięścią.

- Mamy brać na siebie całe ryzyko, a on zbierze owoce!
- wrzasnął. - Mamy walczyć za niego?

Conan stanął przed nim i pochyliwszy się nieco, spojrzał prosto w zarośniętą twarz. Nie wyciągnął kindżału, lecz trzymał lewą dłońią jego pochwę, znacząco wystawiając rękojeść.

- Nikogo nie proszę, by walczył za mnie - rzekł łagodnie. - Wyciągnij broń, jeśli się odważysz, parszywy psie!

Wazulis odskoczył, prychnąwszy jak kot.

- Spróbuj mnie tknąć, a tych pięćdziesięciu ludzi rozszarpie cię na kawałki! - zaskrzeczał.

- Co!?! - ryknął Jar Afzal purpurowiejąc z gniewu.

Nastroszył wąsy i wypiął brzuch. - Czyżbyś był wodzem Kurumu? Czy Wazulisi słuchają rozkazów Jar Afzala, czy nędznego kundla?

Wojownik skulił się, a niezwyciężony wódz doskoczył do niego, złapał za gardło i zaczął dusić, aż twarz ofiary stała się sinofioletowa. Wtedy cisnął nim wściekle o ziemię i stanął nad nim z szablą w ręku.

- Czy jeszcze ktoś ma jakieś wątpliwości? - ryknął, a jego współplemieńcy ponuro wbili wzrok w ziemię, gdy omiótł ich wojowniczym spojrzeniem.

Jar Afzal chrząknął pogardliwie i wepchnął broń do pochwy gestem, który sam w sobie stanowił obrazę. Później kopnął z wściekłością leżącego podżegacza, wydobywając z jego ust ryk bólu.

- Obejdiesz posterunki na skałach i dowiesz się, czy coś spostrzegli - rozkazał i mężczyzna odszedł, trzęsąc się ze strachu i zgrzytając zębami z wściekłości.

Jar Afzal ciężko opadł na kamień, pomrukując pod nosem do siebie. Conan stał blisko niego na szeroko rozstawionych nogach, z kciukami zatkniętymi za pas, przymrużonymi oczyma patrząc na zgromadzonych wojowników. Spoglądali na niego ponuro, nie ośmielając się

prowokować gniewu Jar Afzala, lecz nienawidząc przybysza tak, jak tylko górale potrafią.

- Teraz słuchajcie mnie, wy, synowie bezpańskich kundli, a powiem wam, co wódz Conan i ja zaplanowaliśmy, by wyprowadzić w pole Kszatrijasów! - bawoli ryk Jar Afzala ścigał sponiewieranego Wazulisa, oddalającego się z miejsca narady.

Mężczyzna minął rząd chat, ścigany złośliwymi uwagami i śmiechem kobiet, które były świadkami jego klęski, po czym spieszenie ruszył szlakiem, wijącym się wśród głazów i skał w górę.

Zaledwie dotarł do pierwszego zakrętu i zniknął z oczu mieszkańców wioski, stanął jak wryty i rozdziawił usta ze zdziwienia. Nie wierzył, by ktoś obcy mógł dostać się do doliny Kurumu nie odkryty przez sokolookich obserwatorów na szczytach, a jednak na niskiej półce skalnej przy ścieżce siedział nieznajomy mężczyzna w todze z wielbłądziej wełny i zielonym turbanie.

Wazulis otworzył usta do krzyku, a jego dłoń skoczyła do rękojeści noża. Jednak w tej samej chwili jego oczy napotkały spojrzenie obcego i krzyk zamarł mu w gardle, a dłoń opadła bezwładnie. Stanął nieruchomo jak posąg,

wpatrując się w dal szklistym i nieobecnym wzrokiem.

Przez kilka minut trwali tak bez ruchu; później człowiek w zielonym turbanie nakreślił palcem jakiś tajemniczy znak na kamieniu. Wazulis nie zauważył, by nieznajomy umieścił coś w pobliżu tego symbolu, lecz nagle na skale coś zabłysło - okrągła lśniąca kula, wyglądająca jak polerowany węgiel. Człowiek w turbanie podniósł ją i rzucił Wazulisowi, który chwycił ją bezwiednie.

- Zanieś to Jar Afzalowi - powiedział nieznajomy. Wazuliski wojownik odwrócił się sztywno i pomaszerował ścieżką z powrotem, trzymając czarną kulę w wyciągniętej ręce. Mijając chaty nawet nie zwrócił uwagi na nowe szyderstwa kobiet. Zdawał się ich nie słyszeć.

Człowiek na skalnym występie spoglądał za nim z tajemniczym uśmiechem. Nad krawędzią półki pojawiła się głowa dziewczyny patrzącej na niego z podziwem i odrobiną lęku, jakiego nie czuła jeszcze poprzedniej nocy.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała. Czule pogładził jej czarne loki.

- Czyżbyś wciąż jeszcze była oszołomiona po jeździe na powietrznym rumaku, że wątpisz w moją mądrość? - roześmiał się. - Tak długo jak żyje Jar Afzal, Conan jest

bezpieczny wśród Wazulisów. Jest ich wielu, a ich noże są ostre. Wymyśliłem bezpieczniejszy sposób niż zabicie Cymerianina i odbieranie dziewczyny Wazulisom. Nie trzeba czarodzieja, by przewidzieć, co zrobią wazuliscy wojownicy z Conanem, gdy moja ofiara poda wodzowi Kurumu kulę Jezuda.

Tymczasem przed chatą Jar Afzal przerwał w pół słowa swoją tyradę, ze zdziwieniem i niezadowoleniem widząc; że człowiek, którego wysłał na obchód, przepycha się przez tłum.

- Kazałem ci obejść posterunki! - ryknął wódz. - Nie mogłeś tego zrobić w tak krótkim czasie!

Wojownik nie odpowiadał; stał bez ruchu, patrząc niewidzącym spojrzeniem na wodza i wyciągając rękę z zaciśniętą w niej czarną kulą. Conan, spojrzawszy Jar Afzalowi przez ramię, mruknął coś i chciał złapać wodza za rękę, lecz nim zdążył to uczynić, Wazulis w przyływie gniewu uderzył wojownika zaciśniętą w pięść dłonią, obalając go na ziemię jak osła. Czarna kula wypadła z ręki powalonego i potoczyła się pod nogi Jar Afzala, który chyba dopiero wtedy ją zauważył; schylił się i podniósł ją z ziemi.

Pozostali wojownicy, spoglądający ze zdziwieniem na towarzysza, zobaczyli, że wódz pochyła się, ale nie dostrzegli, co podniósł.

Jar Afzal wyprostował się, spojrzął na kulę i zamierzał wepchnąć ją za pas.

- Zanieście tego głupca do chaty - warknął. - Wygląda na zjadacza lotosu. Patrzył na mnie takim pustym spojrzeniem. Ja... Auu!

W prawej dłoni, przesuwał się do pasa, wódz poczuł nagle jakieś dziwne mrowienie. Umilkł, stojąc i wpatrując się przed siebie; w dłoni czuł jakieś lekkie poruszenia - coś się zmieniało, ruszało, żyło. Jego palce nie zaciskały się już na gładkiej, błyszczącej kuli. Bał się spojrzeć; język przywarł mu do podniebienia i dłoń nie chciała się otworzyć. Zdumieni wojownicy ujrzeli, że oczy Jar Afzala rozszerzyły się okropnie i krew odpłynęła mu z twarzy. Nagle z jego ust ukrytych w gęstwinie rudawej brody wydobył się przeraźliwy krzyk bólu; wódz zachwiał się i padł jak rażony gromem, wyciągając przed siebie prawą rękę. Legł twarzą do ziemi, a pomiędzy jego rozchylonych palców wypełznął pajak - odrażający czarny stwór o włochatych odnóżach i tułowiu lśniącym jak

polerowany węgiel. Mężczyźni wrzasnęli i cofnęli się gwałtownie. Korzystając z tego pająk dopadł szczeliny w skale i zniknął.

Wojownicy spojrzeli po sobie niepewnie. Nagle wśród gwaru dał się słyszeć donośny, rozkazujący głos, dobiegający nie wiadomo skąd. Później każdy z mężczyzn, którzy byli tam obecni - i uszli z życiem - twierdził, że to nie on krzyczał, ale wszyscy słyszeli te słowa.

- Jar Afzal nie żyje! Zabić obcego!

To hasło zjednoczyło górali. Zwątpienie, niedowierzanie i strach zniknęły w przyływie niepohamowanej żądzy krwi. Pod niebo wzbił się wściekły ryk, gdy Wazulisi natychmiast podchwycili pomysł. Z oczami płonącymi nienawiścią runęli naprzód, łopocząc połamami płaszczy i wznosząc noże do ciosu.

Conan zareagował równie szybko. W mgnieniu oka skoczył do drzwi chaty. Jednak górale byli zbyt blisko i stanąwszy w progu musiał odwrócić się i odbić cios zadany półmetrowym ostrzem. Rozłupał czaszkę napastnika; uniknął pchnięcia nożem i rozpruł brzuch jego posiadaczowi; lewą ręką zwałił na ziemię kolejnego przeciwnika, a ostrzem trzymanym w prawej przeszył

innego - i z całej siły uderzył plecami w zamknięte drzwi. Opadające ostrze odłupało drzazgi z framugi tuż przy jego uchu, ale drzwi ustąpiły pod uderzeniem jego potężnych ramion i Cymerianin tyłem wpadł do środka. W tejże chwili brodaty góral wymierzył wściekłe pchnięcie, stracił równowagę i rozciągnął się jak długi w progu. Conan pochylił się, złapał go za fałdy odzienia i odrzuciwszy w głąb komnaty pchnął drzwi w twarze atakujących. Rozległ się trzask łamanych kości i w następnej chwili Conan zasunął rygle i odwrócił się pospiesznie, by stawić czoło mężczyźnie, który zerwał się już z podłogi i runął na niego jak szalenciec.

Jasmina wtuliła się w kąt, patrząc ze zgrozą na walczących, miotających się tam i z powrotem po pomieszczeniu, niemal wpadających na nią od czasu do czasu; chatę wypełnił szcęk i błysk stali, a na zewnątrz gromada napastników wyła jak stado wilków, waląc kindzałami w mosiężne drzwi i tłukąc w nie głazami. Ktoś przytaszczył pień drzewa i drzwi zaczęły dygotać pod potężnymi uderzeniami.

Dziewczyna zakryła uszy rękami, tocząc błędnym wzrokiem. Zacięte zmagania walczących w chacie i

wściekle wycia na zewnątrz przyprawiły ją o szaleństwo. Ogier rżał i kwiczał, łomocząc podkowami o ściany swej przegrody. Okręcił się i wierzgnął kopytami przez pręty w tej samej chwili, gdy góral, cofający się przed morderczym atakiem Cymerianina, dotknął przegrody plecami. Kręgosłup Wazulisą trzasnął w trzech miejscach jak spróchniała gałąź i wojownik poleciał na Conana obalając go, tak, że obaj runęli na ubitą glinę podłogi.

Jasmina krzyknęła i skoczyła naprzód; wydarzenia potoczyły się tak szybko, że wydało się jej, że obaj nie żyją. Znalazła się przy nich akurat wtedy, gdy Conan odepchnął trupa na bok i zaczął się podnosić. Złapała go za ramię, trzęsąc się jak w febrze.

- Och, żyjesz! Myślałam... myślałam, że cię zabił!

Spojrzał na nią: na pobladłą, zwróconą ku niemu twarz i szeroko otwarte czarne oczy.

- Czemu drżysz? - spytał. - Dlaczego miałoby cię obchodzić, czy żyję, czy nie?

Przez chwilę na jej twarzy pojawił się cień wyniosłego grymasu; odsunęła się, czyniąc dość żalospną próbę udawania dawnej Devi.

- Wolę już ciebie niż to stado wilków wyjących na

zewnątrz - odparła wskazując na drzwi i kamienną framugę, która zaczęła się kruszyć.

- Długo nie wytrzyma - mruknął Conan, po czym odwrócił się i szybko podszedł do przegrody, w której znajdował się ogier.

Jasmina zacisnęła dłonie i wstrzymała, oddech widząc, jak odsuwa na bok połamane pręty i wchodzi do szalejącego zwierzęcia. Ogier wspiął się na tylne nogi, bijąc kopytami, szczerząc zęby, rżąc przeraźliwie i rozdymając nozdrza, lecz Conan doskoczył do niego i z nadludzką siłą chwyciwszy za grzywę zmusił go, by stał spokojnie. Rumak parsknął i trząsał się nerwowo, ale dał sobie założyć uprząż i nabijane złotem siodło z szerokimi, srebrnymi strzemionami.

Cymerianin zawrócił konia i zawołał Jasmine, która podeszła ostrożnie, trzymając się poza zasięgiem kopyt ogiera. Conan majstrował przy kamiennej ścianie przegrody, mówiąc cicho do dziewczyny:

- Są tu ukryte drzwi, o których nawet Wazulisi nic nie wiedzą. Jar Afzal pokazał mi je kiedyś, kiedy się upił. Wychodzą prosto na parów za chatą. Ha!

Pociągnął za niewinnie wyglądający występ ściany i

cały jej fragment odchylił się do środka na naoliwionych żelaznych szynach. Spojrzawszy przez otwór Jasmina zobaczyła wąską rozpadlinę w pionowym skalnym urwisku, wznoszącym się kilka stóp za tylną ścianą chaty. Conan wskoczył na konia, podniósł dziewczynę i posadził przed sobą. Za ich plecami grube drzwi jęknęły jak żywe stworzenie i upadły z trzaskiem; przez otwór natychmiast wdarł się tłum zarośniętych, wyjących wniebogłosy wojowników z kindżałami w dłoniach. Wielki ogier wypadł z chaty jak wystrzelony z katapulty i pognał parowem, wyciągnięty w biegu jak struna, z płatami piany kapiącej z pyska.

Ten manewr był całkowitym zaskoczeniem dla Wazulisów. Był też zupełną niespodzianką dla skradających się parowem. Wszystko wydarzyło się tak szybko, a wielki rumak pomknął z tak huraganową szybkością, że człowiek w zielonym turbanie nie zdążył usunąć się z drogi. Runął potracony przez galopującego konia, a towarzysząca mu dziewczyna wrzasnęła przeraźliwie. Conan widział ją przez chwilę krótką jak mgnienie oka - smukłą, ciemnowłosa piękność w jedwabnych szarawarach i wysadzanych klejnotami

**napierśniku, przyciskająca się do ściany rozpadliny.
Czarny koń pomknął jak liść gnany wichrem, unosząc
Cymerianina i jego brankę, a krwiożercze wycie górali
zmienilo się we wrzask przerażenia i bólu, kiedy przecisnęli
się przez ukryte drzwi i wbiegli do parowu.**

6. Góra Czarnych Wróżbitów

- Dokąd teraz? - Jasmina próbowała siedzieć prosto na kolebiącym się siodle, przyciśnięta do porywacza. Z lekkim wstydem uświadomiła sobie, że dotknięcie jego muskularnego ciała nie było nieprzyjemne.

- Do Afgulistanu - odparł. - To daleka droga, ale ogier zanieś nas tam bez trudu, chyba że wpadniemy na twoich przyjaciół lub wrogów mojego plemienia. Teraz, kiedy Jar Afzal nie żyje, ci przekłeci Wazulisi będą nam deptać po piętach. Dziwi mnie, że jeszcze ich za nami nie widać.

- Kim był człowiek, którego stratowałeś? - zapytała.

- Nie wiem. Nigdy przedtem go nie widziałem. Na pewno nie był Gulistańczykiem. Nie mam pojęcia, co, do diabła, tam robił. Była tam też dziewczyna.

- Tak - Jasmina zmarszczyła brwi. - Nie pojmuję tego. To była moja dworka, Gitara. Myślisz, że chciała mi pomóc? I że ten człowiek to jej przyjaciel? Jeżeli tak, to Wazulisi schwytali ich oboje.

- No - mruknął Conan - nie możemy nic na to poradzić. Jeśli wrócimy, obedną nas ze skóry. Nie rozumiem, jak ta dziewczyna mogła dotrzeć tak daleko w towarzystwie tylko

jednego mężczyzny, i to, sądząc po ubiorze, uczonego. Jest w tym coś bardzo dziwnego. Ten człowiek, którego Jar Afzal poturbował i wysłał na obchód posterunków, ruszał się jak lunatyk. Widziałem w Zamorze kapłanów odprawiających swe koszmarne rytuały w ukrytych świątyniach Jezuda - ich ofiary miały takie same spojrzenie. Kapłan popatrzył komuś w oczy, wymamrotał kilka zaklęć, i człowiek zaczął się zachowywać jak żywy trup; spoglądając szklistym wzrokiem, robił, co mu kazano.

Ponadto widziałem, co ten człowiek miał w ręku; to, co podniósł Jar Afzal. Wyglądało to jak wielka, czarna perła, taka jaką noszą świątynne dziewczęta Jezuda, kiedy tańczą przed czarnym, kamiennym pajakiem, któremu oddają cześć. Jar Afzal trzymał ją w dłoni; nie podniósł nic więcej. A jednak kiedy upadł nieżywy, pomiędzy palców wybiegł mu pajak podobny do bóstwa Jezuda, tylko mniejszy. Później, kiedy Wazulisi stali nie wiedząc, co począć, jakiś głos krzyknął, by mnie zabili - i wiem, że ten głos nie należał do żadnego z wojowników ani do żadnej z kobiet, które zgromadziły się przy chatach. Wyglądało na to, że nadleciał z góry.

Jasmina nic nie odpowiedziała. Zerknęła na surowe

sylwetki wznoszących się wokół szczytów i zadrżała. Ten ponury krajobraz nappełnił jej duszę rozpaczą. W tej posepnej, pustej krainie wszystko mogło się zdarzyć. Ludziom zrodzonym na gorących równinach bogatego Południa wielowiekowe tradycje kazały wierzyć, że ziemię tę spowija opar tajemnicy i grozy.

Słońce stało już wysoko na niebie, gnębiąc ziemię wściekłym żarem, a jednak wiatr wiejący kapryśnymi porywami zdawał się spadać z lodowych zboczy. W pewnej chwili Jasmina usłyszała w górze świst, który nie był podmuchem wiatru, i spoglądając na czujnie wpatrującego się w niebo Conana zrozumiała, że i on uznał to za niezwykle. Dziewczynie wydało się, że po błękitnym niebie przemknęła jakaś zamazana smuga, jakby coś bardzo szybko przeleciało im nad głowami, ale nie była pewna, czy jej się nie przywidziało. Oboje pozostawili to bez komentarza, ale Conan nieznacznie sprawdził, czy kindżał łatwo wysuwa się z pochwy.

Podążali ledwie widoczną ścieżką schodzącą w parowy tak głębokie, że słońce nigdy nie docierało do ich dna; to znów wspinającą się na strome zbocza, gdzie piargi w każdej chwili groziły osunięciem się spod nóg; albo wiodącą

ostrymi jak nóż graniami opadającymi po obu stronach w niezgłębione, zasnute niebieskawą mgiełką przepaście.

Słońce zaczęło się chylić ku zachodowi, kiedy dotarli do wąskiego traktu, wijącego się-między turniami. Conan ściągnął wodze i skierował konia na południe, niemal prostopadle do poprzedniego kierunku jazdy.

- Ta droga prowadzi do wioski Galzajów - wyjaśnił. - Ich kobiety chodzą tędy po wodę. Potrzebne ci nowe odzienie.

Spojrząwszy na swój zwiewny strój Jasmina przyznała mu rację. Pantofelki ze złotogłowiu były w strzępach, tak samo jak suknie i jedwabna bielizna, które mało co zasłaniały. Strój odpowiedni na ulicach Peszkauri niezbyt się sprawdzał wśród ostrych skał Himelii.

Dotarłszy do zakrętu Conan zsiadł i pomógł Jaśminie zejść z konia. Czekali dłuższą chwilę. W końcu Cymerianin kiwnął głową z zadowoleniem, chociaż dziewczyna nic nie słyszała.

- Nadchodzi kobieta - mruknął.

Jasmina w nagłym przypiływie paniki chwyciła go za ramię.

- Chyba nie... nie zabijesz jej?

- Zazwyczaj nie zabijam kobiet - mruknął - chociaż niektóre z tych góralek to istne wilczyce. Nie - uśmiechnął się, jakby usłyszał dobry żart - nie zabiję jej. Na Kroma, nawet zapłacę jej za rzeczy! Jak ci się to podoba?

Wydobył garść złotych monet i schował je z powrotem, oprócz największej. Devi skinęła głową ze znaczną ulgą. Wydawało się rzeczą oczywistą, że mężczyźni zabijają i giną, ale dreszcz przebiegł jej po plecach na myśl o tym, że mogłaby patrzeć, jak morduje się kobietę.

Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się oczekiwana postać - wysoka, szczupła Galzajka, niosąca wielki, pusty bukłak. Zobaczyła ich; stanęła jak wryta i bukłak wypadł jej z rąk. Zrobiła ruch, jakby zamierzała rzucić się do ucieczki, ale zaraz zrozumiała, że Conan jest zbyt blisko, by zdołała mu umknąć, i stanęła spokojnie, patrząc na nich z mieszaniną strachu i ciekawości. Conan pokazał jej złotą monetę.

- Jeśli oddasz tej kobiecie swoje ubranie - powiedział - dam ci ten pieniądz.

Reakcja góralki była natychmiastowa. Uśmiechnęła się szeroko ze zdziwienia i zadowolenia, po czym - z typową góralską pogardą dla konwenansów - ochoczo zrzuciła haftowany serdak, zdjęła bufiaste spodnie i koszulę o

szerokich rękawach oraz skórzane sandały. Zgarnąwszy wszystko na kupę, ofiarowała zawiniątko Conanowi, który podał je zdumionej Devi.

- Idź za tę skałę i przebierz się - nakazał, raz jeszcze udowadniając, że nie jest himeliańskim góralem. - Zwiń swoje suknie w węzeł i przynieś mi, kiedy skończysz.

- Pieniądze! - domagała się jazgotliwie Galzajka, wyciągając pożądliwie ręce. - Złoto, które mi obiecałeś!

Cymerianin rzucił jej monetę; złapała ją w powietrzu, ugryzła na próbę, po czym schowała ją we włosy, pochyliła się, podniosła bukłak i poszła drogą .dalej, pozbawiona zarówno wstydu, jak i ubrania. Conan czekał z pewną niecierpliwością, aż Devi, po raz pierwszy w życiu, ubierze się sama. Kiedy wyszła zza skały, zaklął ze zdziwienia i Jasmina poczuła przyływ dziwnego podniecenia na widok nieskrywanego podziwu malującego się na jego twarzy. Czowała wstyd, zmieszanie i ukłucie próżności, jakiej nigdy przedtem nie doświadczała, a jego palące spojrzenie przeszywało ją dreszczem. Conan położył ciężką dłoń na jej ramieniu i obrócił Devi dookoła, oglądając ze wszystkich stron.

- Na Kroma! - rzekł. - W tych powłóczystych,

nieziemskich szatach wydawałaś się zimna, obojętna i daleka jak gwiazdy! Teraz jesteś kobietą z krwi i kości! Weszłaś za skały jako Devi Vendii; wyszłaś jako góralska dziewczyna - ale tysiąc razy piękniejsza od wszystkich dziewczek Zaibaru! Byłaś boginią - teraz jesteś kobietą!

Wymierzył jej mocnego klapsa, a Jasmina, uznając to tylko za wyraz swoistego hołdu, nie oburzyła się. Wraz ze zmianą odzienia zmieniła się też jej osobowość. Owładnęły nią tłumione dotychczas uczucia i pragnienia, jak gdyby zrzucając królewskie szaty pozbyła się kajdanów uprzedzeń i zahamowań.

Jednak Conan nie zapomniał o grożącym im niebezpieczeństwie. Im bardziej oddalali się od Zaibaru, tym mniej prawdopodobne stawało się spotkanie z kszatrijaskimi oddziałami, lecz przez cały czas nasłuchiwał odgłosów świadczących o tym, że mściwi Wazulisi z Kurumu depczą im po piętach.

Umieściwszy Devi w siodle, sam wskoczył na konia i znów skierował wierzchowca na zachód. Zawiniątko z ubiorem, które mu dała, cisnął w tysiącstopową otchłań głębokiego wąwozu.

- Czemu to zrobiłeś? - pytała - Dlaczego nie dałeś ubrania dziewczynie?

- Jeźdźcy z Peszkauri przeczesują góry - powiedział. - Będą nękami i napadani przez cały czas, a w odwecie zniszczą każdą wioskę, którą zdołają zdobyć. Mogą też skierować się na zachód. Gdyby znaleźli dziewczynę noszącą twój strój, zmusiliby ją torturami do mówienia i mogłaby ich naprowadzić na nasz ślad.

- Co ona teraz robi? - spytała Jasmina.

- Wróci do wioski i powie, że została napadnięta. O, na pewno wyślą za nami pościg. Jednak najpierw musi pójść nabrać wody; gdyby ośmieliła się wrócić bez niej, zostałaby wybatożona. To daje nam sporo czasu. Nigdy nas nie złapią. Przed wieczorem przekroczymy granicę Afgulistanu.

- Nigdzie tu nie widać śladu ludzkich osiedli - zauważyła Jasmina. - Nawet jak na Himelię, ten rejon wydaje mi się szczególnie pusty. Nie napotkaliśmy uczęszczanej ścieżki od chwili, gdy porzuciliśmy trakt, na którym spotkaliśmy Galzajkę.

W odpowiedzi wskazał ręką na północny zachód, gdzie dostrzegła wyniosły szczyt otoczony przez strzeliste turnie.

- To Imsza - mruknął Conan. - Góralskie plemiona

budują swe wioski najdalej jak mogą od tej góry.

Jasmina zeszywniała.

- Imsza! - szepnęła. - Góra Czarnych Wróżbitów!

- Tak mówią - odparł. - Jeszcze nigdy nie dotarłem tak blisko niej. Odbiliśmy na północ, by uniknąć kszatrijaskich wojowników, którzy mogliby się zapuścić aż tu. Uczęszczany szlak z Kurumu do Afgulistanu biegnie dalej na południe. Ten to stary i rzadko używany.

Jasmina wpatrywała się intensywnie w odległy szczyt. Zacisnęła dłonie, aż paznokcie wbiły się w różowe ciało.

- Ile czasu potrzeba, aby dotrzeć stąd na Imszę?

- Resztę dnia i całą noc - odparł z uśmiechem. - Chcesz tam jechać? Na Kroma, to nie miejsce dla zwykłego śmiertelnika - sądząc po tym, co opowiadają górale.

- Czemu nie skrzykną się i nie pozabijają demonów, które tam zamieszkują? - pytała.

- Z mieczami przeciw czarom? Poza tym oni nigdy nie wtrącają się do ludzkich spraw, chyba że ktoś wejdzie im w paradę. Nigdy nie widziałem żadnego z nich, chociaż rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że ich spotkali. Mówili, że o wschodzie lub zachodzie słońca widzieli wśród skał mieszkańców Imszy - wysokich, milczących mężczyzn

w czarnych togach.

- A ty? Obawiałbyś się ich zaatakować?

- Ja? - ta myśl wydała mu się czymś nowym. - No, gdyby mi weszli w drogę, to okazałoby się, czy ja, czy oni. Jednak nie mam z nimi żadnych zwad. Przybyłem w te góry, by zebrać ludzi, a nie wojować z czarodziejami.

Jasmina nic nie powiedziała. Patrzyła na szczyt jak na żywego nieprzyjaciela, czując, jak gniew i nienawiść na nowo wzbierają w jej piersi. W jej głowie zaczęła kiełkować nowa myśl. Spiskowała, pragnąc rzucić przeciw panom Imszy tego oto człowieka, w którego mocy się znalazła. Może był inny sposób, by osiągnąć ten cel. Nie mogła się mylić co do wyrazu, jaki pojawił się w jego dzikich niebieskich oczach, kiedy na nią patrzył. Niejedno królestwo upadło, gdy drobne, białe kobiece dłonie pociągnęły za nitki przeznaczenia...

Nagle drgnęła i wskazała palcem.

- Patrz!

Nad dalekim szczytem unosił się ledwie widoczny obłok o niezwykłym kształcie. Matowoczerwony, skrzył się złotymi pasmami. Był w nieustannym ruchu; obracał się, wirował i gwałtownie kurczył. Po chwili zmienił się w

wirujący stożek, błyszczący w promieniach słońca. Nagle oderwał się od ośnieżonego wierzchołka góry, jak wielobarwne piórko przepłynął po niebie i zniknął w jego błękitnym bezmiarze.

- Co to mogło być? - spytała niepewnie Jasmina, gdy wyrzucenie grani zasłoniło szczyt; mimo swego piękna widok ten budził niepokój.

- Tutejsi nazywają to Dywanem Imszy, ale nie wiem, co to oznacza - rzekł Conan. - Kiedyś widziałem, jak pięciuset tubylców uciekało, jakby sam diabeł deptał im po piętach, kryjąc się w skałach i jaskiniach, ponieważ zauważyli, że ta karmazynowa chmura odrywa się od wierzchołka. Co to...

Właśnie przejechali przez wąską szczelinę, jak nożem wyciętą w pionowej skale, i znaleźli się na szerokim występie, mając szereg poszarpanych zboczy po jednej, a gigantyczne urwisko po drugiej stronie. Półką tą biegł na pół zatarty szlak, kryjąc się wśród skalnych grzbietów i znów pojawiając się w regularnych odstępach, monotonnie opadał w dół. Wyjechawszy ze szczeliny prowadzącej na półkę, czarny ogier parsknął i stanął jak wryty. Conan popędził go niecierpliwie, lecz koń tylko parsknął i podrzucał łbem, trzęsąc się i napinając mięśnie, jakby natrafił na

jakąś niewidzialną przeszkodę.

Cymerianin zaklął i zeskoczył na ziemię, trzymając Jasmine w ramionach. Ruszył naprzód z wyciągniętą przed siebie ręką, jakby spodziewał się natknąć na jakąś niewidoczną barierę. Jednak nic nie zagroziło mu drogi, chociaż kiedy próbował pociągnąć za sobą konia, ten zarżał przeraźliwie i szarpnął się w tył. Nagle Jasmina krzyknęła i Conan okręcił się na pięcie, chwytając za rękojeść kindżału.

Nie zauważyli, by ktoś się zbliżał, a jednak stanął przed nimi mężczyzna odziany w togę z wielbłądziej wełny i zielony turban. Conan sapnął ze zdziwienia, rozpoznawszy w nieznanym stojącym z rękami założonymi na piersiach człowieka, którego stratował w wąwozie przy wiosce Wazulisów.

- Kim jesteś, do diabła? - spytał.

Nieznajomy nie odpowiedział. Conan zauważył, że jego oczy są dziwnie rozszerzone, nieruchome i błyszczące. I z magnetyczną siłą przyciągają uwagę.

Czary Khemisy opierały się na hipnozie, jak większa część wschodniej magii. Niezliczone generacje żyjące i umierające w niezłomnym przeświadczeniu o możliwościach i sile hipnozy utorowały ku temu

przeświadczeniu drogę, tworząc, dzięki powszechnemu przekonaniu i praktyce, tak przytłaczającą atmosferę strachu, że człowiek wychowany w tradycjach tej ziemi był w zetknięciu z hipnozą bezradny.

Jednak Conan nie był synem Wschodu. Wschodnie tradycje nic dla niego nie znaczyły; był produktem zupełnie innej cywilizacji. W Cymerii hipnoza nie była nawet mitem. Dziedzictwo, które przygotowało mieszkańca Wschodu do poddania się hipnozie, było mu zupełnie obce.

Zdawał sobie sprawę z tego, co Khemsa próbuje zrobić, jednak uderzenie jego niesamowitej siły odczuwał tylko jako słaby impuls, niewidzialne więzy tak delikatne, że mógł je rozerwać równie łatwo, jak zrywa się pajęczynę.

Pojąwszy wrogie zamiary czarownika, wyrwał zza pasa kindżał i runął na niego jak burza.

Jednak hipnoza nie była jedyną bronią Khemsy. Patrząca z boku Jasmina nie dostrzegła chytrego uniku czy też czaru, dzięki któremu człowiek w zielonym turbanie uchylił się przed straszliwym pchnięciem wymierzonym w brzuch. Wąskie ostrze przeszło mu pod pachą i Jaśminie wydało się, że Khemsa tylko musnął otwartą dłonią masywny kark Conana - lecz Cymerianin z łoskotem zwałił

się na ziemię.

Jednak cios nie zabił go; padając złagodził impet upadku lewą ręką, jednocześnie wymierzając zamaszyste cięcie w nogi Khemсы, który uniknął ciosu tylko dzięki całkiem nie czarodziejskiemu susowi w tył. Nagle Jasmina krzyknęła głośno, widząc jak kobieta, w której rozpoznała Gitarę, wysuwa się zza skał i staje u boku człowieka w zielonym turbanie. Słowa powitania zamarły na ustach Devi, gdy zobaczyła złość malującą się na pięknej twarzy dziewczyny.

Conan podnosił się wolno, wstrząśnięty i oszołomiony potwornie silnym ciosem, który - zadany według reguł sztuki zapomnianej na długo przed pogrążeniem się Atlantydy w fale oceanu - złamałby kark każdego przeciętnego człowieka jak spróchniałą gałąź. Khemsa spojrział na niego uważnie i trochę niepewnie. Mag poznał w pełni swą siłę, gdy musiał stawić czoło nożom rozwścieczonych Wazulisów w rozpadlinie przy wiosce Kurum, jednak odporność Cymerianina chyba odrobinę zachwiała jego nowo nabytą pewnością siebie. Podstawą magii jest sukces, nie porażka.

Khemsa ruszył naprzód podnosząc rękę... i nagle

zamarł z uniesionym ramieniem, patrząc w górę szeroko otwartymi oczami. Conan mimowolnie też spojrział w tym kierunku, tak samo jak obie kobiety: skulona przy dygoczącym wierzchowcu Jasmina i dziewczyna Khemsy.

Po górskich zboczach toczyła się purpurowa, stożkowata chmura, jak wirujący obłok błyszczącego pyłu niesiony wiatrem. Twarz Khemsy przybrała barwę popiołu; ręka mu zadrżała i opadła bezwładnie. Stojąca przy nim dziewczyna, wyczuwając zachodzącą w nim zmianę, spojrzała badawczo.

Purpurowy obłok spłynął po zboczu góry i zatoczywszy długi łuk wylądował na skalnej półce między Conanem a Khemsa, który odskoczył ze zduszonym okrzykiem. Cofnął się, ciągnąc za sobą dziewczynę i kurczowo zaciskając dłoń na jej ramieniu.

Purpurowa chmura przez chwilę stała w miejscu, wirując z oszalamiającą szybkością niczym bąk puszczone w ruch. Później, bez ostrzeżenia, zniknęła niespodziewanie, jak rozpryskująca się bańka mydlana. Na skale stali czterej mężczyźni. To było nieprawdopodobne, niemożliwe, a jednak nie duchy czy zjawy, lecz czterej wysocy mężczyźni o wygolonych czaszkach, w czarnych togach kryjących ich

stopy i dłonie, naprawdę stanęli tam w milczeniu, zgodnie kiwając ptasimi głowami. Patrzyli na Khemse, lecz stojący za ich plecami Conan poczuł, że krew płynąca mu w żyłach zamienia się w lód. Podniósł się i cofnął powoli, aż plecami dotknął sierści drżącego rumaka, a ramieniem mógł objąć wystraszoną Devi. Nie padło ani jedno słowo. Cisza zaległa wokół jak ciężki całun.

Wszyscy czterej mężczyźni w czarnych togach patrzyli na Khemse. Ich twarze o ptasich rysach były pozbawione wyrazu, a spojrzenia nieruchome i skupione. Khemsa trzął się jak w febrze; stopami mocno wpierał się w skałę, a mięśnie łydek miał napięte w ogromnym wysiłku. Pot spływał strumieniami po jego smagłej twarzy. Prawą dłoń zaciskał tak mocno na czymś ukrytym pod brązową togą, że krew odpłynęła mu z posiniałej ręki. Lewą dłoń położył na ramieniu Gitary i zacisnął ją kurczowo, rozpaczliwym chwytem topiącego się człowieka. Dziewczyna nie skrzywiła się i nie jęknęła, chociaż palce Khemsy wpijały się w jej ciało jak szpony.

Wiodąc niespokojne życie Conan był świadkiem setek bitew, ale nigdy nie widział takiej jak ta, w której połączone siły czterech demonów zmagaly się z jedną, równie

diabelską mocą. Jednak Cymerianin zaledwie wyczuwał istotę tych koszmarnych zmagania. Przyparty do muru, osaczony przez swych dawnych panów, Khemsa walczył o życie używając wszystkich mrocznych sposobów, całej swej przerażającej wiedzy, jaką posiadał w ciągu długich, ponurych lat nowicjatu i wasalstwa.

Był silniejszy, niż myślał, a konieczność użycia tej siły we własnej obronie wyzwoliła w nim niespodziewane zasoby energii. Strach i rozpacz zwielokrotniły tę siłę. Chwiał się pod bezlitosnym naporem czterech par oczu, ale nie ustępował pola. Jego twarz wykrzywił zwierzęcy grymas bólu, a ciało prężyło się jak łamane kołem. Była to wojna dusz, wypaczonych umysłów nurzających się w wiedzy niedostępnej człowiekowi od miliona lat; bitwa mózgów, które zgłębiły otchłanie mroku i poznały czarne gwiazdy, rodzące koszmary.

Jasmina rozumiała to lepiej niż Conan. I domyślała się, dlaczego Khemsa mógł wytrzymać skoncentrowane uderzenie czterech umysłów, których wola była w stanie rozbić na atomy skałę, na której stał. Przyczyną tego była dziewczyna, którą przyciskał do siebie z siłą rozpacz. Ona była kotwicą jego znękaną duszy, druzgotanej falami

psychicznych emocji. Siłą Khemсы była jego słabość. Miłość do dziewczyny, choć może gwałtowna i zła, stanowiła jednak więź łączącą go z resztą ludzkości, dając oparcie dla dźwigni jego woli, tworząc łańcuch, którego nie mogli rozerwać upiorni wrogowie; a przynajmniej nie mogli rozerwać tego ogniwa, jakim był Khemsa.

Zrozumieli to prędzej niż on. Jeden z nich przesunął swe spojrzenie na Gitarę. Tu nie napotkał oporu. Dziewczyna skurczyła się i oklapła jak zeschnięty liść. Wiedziona przemożnym nakazem wyrwała się z uścisku kochanka, zanim ten pojął, co się dzieje. Wtedy przyszło najgorsze. Dziewczyna zaczęła się cofać w kierunku urwiska, twarzą zwrócona do swych prześladowców, patrząc na nich rozszerzonymi, czarnymi oczami; pustymi jak okna domu, w którym zgasło światło. Khemsa jęknął i zatoczył się ku niej, wpadając w zastawioną pułapkę. Rozproszone myśli nie pozwalały mu na odparcie ataku przeciwników. Został pokonany; był już tylko zabawką w ich rękach. Dziewczyna cofała się nadal, krocząc sztywno jak we śnie, a zataczający się Khemsa podążał za nią, daremnie próbując ją pochwycić; jęcząc i szlochając z rozpaczy, poruszał się jak żywy trup.

Dziewczyna zatrzymała się na samej krawędzi, stojąc sztywno z piętami nad przepaścią, a Khemsa padł na kolana i skomląc pełznął ku niej, wyciągając ręce, by uchronić ją przed upadkiem. Już prawie dotknął jej zdrętwiałymi palcami, gdy jeden z czarnoksiężników roześmiał się gromkim śmiechem, dźwięcznym jak spizowy głos piekielnego dzwonu. Dziewczyna zachwiała się i - o szczyście okrucieństwa! - zmysły i świadomość wróciły jej na moment, a w oczach pojawił się przeraźliwy lęk. Wrzasnęła, próbowała pochwycić wyciągnięte ręce kochanka i nie zdoławszy tego dokonać, z głuchym jękiem runęła w przepaść.

Khemsa dowlóknął się do krawędzi i spojrzał w dół błędnym wzrokiem; bezgłośnie poruszał wargami, mamrocząc coś do siebie. Odwrócił się i przez długą chwilę patrzył na swych dręczycieli szeroko otwartymi oczami, w których nie tliła się nawet iskra człowieczeństwa. Później z krzykiem, od którego pękały skały, rzucił się na czterech czarnoksiężników z nożem w podniesionej ręce.

Jeden z magów wysunął się naprzód i tupnął nogą; rozległ się głuchy pomruk, który przeszedł w ogłuszający ryk. W miejscu gdzie uderzył stopą, rozwarła się

błyskawicznie poszerzająca się szczelina. Z ogłuszającym hukiem cały kawał skalnej półki runął w dół. Wśród spadających głazów mignęła jeszcze sylwetka Khemisy, rozpaczliwie wymachującego ramionami, po czym wszystko zniknęło w lawinie schodzącej z grzmotem w bezdenną otchłań.

Czterej magowie patrzyli w skupieniu na poszarpaną krawędź tworzącą teraz nowy skraj urwiska, po czym odwrócili się nagle. Conan, zbity z nóg przez gwałtowne wstrząsy, wstawał właśnie i podnosił Jasińkę. Wydawał się równie wolno poruszać, co i myśleć. Był oszołomiony i ogłupiały. Wiedział, że powinien niezwłocznie posadzić Devi na grzbiecie czarnego ogiera i pognać jak wicher, ale jego ciałem i umysłem owładnęła niewytłumaczalna ociężałość.

Teraz czarnoksiężnicy odwrócili się i spojrzeli na niego; podnieśli ramiona i Conan ze zgrozą zobaczył, że ich sylwetki bledną, stają się mgliste i niewyraźne, po czym nikną w purpurowym dymie, który skłębił się wokół nich, zasłaniając przed jego wzrokiem. Purpurowy, szybko wirujący obłok spowił magów... i nagle Cymerianin uświadomił sobie, że ta czerwona mgła otacza i jego. Usłyszał krzyk Jasińki i przeraźliwe rżenie ogiera.

Straszliwa siła wydarła Devi z ramion barbarzyńcy i cisnęła nim ó głązy jak piórkiem, gdy na oślepnął dźgnął kindżalem. Na pół ogłuszony, zobaczył, jak stożkowaty obłok unosi się nad szczytami i szybko oddala. Jasmina zniknęła tak samo jak czterej mężczyźni w czarnych szatach. Na skalnej półce został tylko Conan i wystraszony koń.

7. W drodze na Imszę

Opar spowijający umysł Cymerianina rozplynął się jak mgła rozwiana uderzeniem wichru. Z wściekłym przekleństwem skoczył na grzbiet rżącego i wierzgającego ogiera. Spojrzał na zbocze, zawahał się i ruszył w tym samym kierunku, w którym zmierzał, zanim zatrzymały go sztuczki Khemisy. Jednak teraz nie jechał już stępa. Popuścił cugli rumakowi, który pomknął jak błyskawica, jakby w tym gwałtownym wysiłku chciał pozbyć się strachu. Gnali na złamanie karku po skalnej półce wijącej się wokół turni, wąskim traktem wiodącym brzegiem przepaści. Ścieżka biegła zygzakiem, wijąc się w nieskończoność po nierównej skale i w pewnej chwili, daleko w dole, Conan dostrzegł miejsce, gdzie runęła lawina: olbrzymi stos potrzaskanych kamieni i głazów u stóp gigantycznego urwiska.

Do dna doliny było wciąż jeszcze daleko, kiedy dotarł do długiej i szerokiej grani, która wiodła na następne zbocze jak naturalny most. Pojechał nią, mając z obu stron niemal pionowe zbocza. Widział przed sobą trasę, którą musiał jechać; gdzieś w dole szlak schodził ze zbocza na dno

doliny i zatoczywszy ogromny łuk wzdłuż koryta wyschniętej rzeki, wracał pod skałę, na której szczycie znajdował się teraz Conan. Cymerianin przeklął konieczność nadkładania drogi, ale nie miał innego wyjścia. Jakakolwiek próba zejścia na dół byłaby samobójstwem. Tylko ptak dokonałby tego nie łamiąc sobie karku.

Cymerianin popędzał zmęczonego konia, aż nagle usłyszał dobiegający z dołu brzęk podków. Wstrzymawszy konia, ostrożnie podjechał do krawędzi urwiska i zajrzał do wąwozu, wyżłobionego przez płynącą tu niegdyś rzekę. Suchym korytem jechał pstrokaty tłum - pięciuset krzepkich, uzbrojonych po zęby brodatych mężczyzn na półdzikich koniach. Nachyliwszy się nad skrajem trzystustopowej przepaści, Conan krzyknął do nich.

Na jego okrzyk zatrzymali się; pięćset brodatych twarzy uniosło się w górę i po kanionie przetoczył się głuchy pomruk. Conan nie tracił czasu.

- Zmierałem do Ghor! - ryknął. - Nie liczyłem na to, że spotkam was, psy, na szlaku. Jedźcie za mną tak szybko, jak zdołają wasze szkapy! Podążymy na Imszę i...

- Zdrajco! - chóralny ryk był dla Conana jak kubeł zimnej wody wylany na głowę.

- Co takiego? - wykrztusił wybałuszając oczy.

Zobaczył wykrzywione wściekłością twarze i wywijające bronią ręce towarzyszy.

- Zdrajco! - odkrzyknęli z przekonaniem. - Gdzie siedmiu naczelników więzionych w Peszkauri?

- No, chyba w więzieniu gubernatora - odparł.

Odpowiedziało mu wycie setek gardzieli oraz potrząsanie bronią i wrzaski, z których nie mógł zorientować się, czego od niego chcą. Rycząc jak bawół przekrzyczał hałas i zawołał:

- Co, u diabła? Niech mówi jeden, żebym mógł zrozumieć, o co chodzi! Chudy, stary naczelnik podjął się tego zadania; na wstępie pogroził Conanowi szablą, po czym wrzasnął oskarżycielsko:

- Nie pozwoliłeś nam napaść na Peszkauri i odbić naszych braci!

- Wy głupcy! - ryknął rozjątrzony Cymerianin. - Nawet gdybyście wdarli się na mury, w co wątpię, to powiesiliby więźniów, zanim zdołalibyście ich uwolnić!

- I pojechałeś sam targować się z gubernatorem! - zawył Afgulis pieniąc się z wściekłości.

- I co z tego?

- Gdzie są naczelnicy? - krzyczał stary wódz wywijając szablą. - Gdzie oni są? Nie żyją!

- Co?! - Conan o mało nie spadł z konia ze zdziwienia.

- Nie żyją! - zapewniło go pięćset żądnych krwi głosów. Stary zakręcił szablą młyńca i znów dorwał się do głosu.

- Nie powieszono ich! - krzyczał. - Wazulis w sąsiedniej celi widział, w jaki sposób zginęli! Gubernator przysłał czarnoksiężnika, który zabił ich swymi czarami!

- To z pewnością kłamstwo - rzekł Conan. - Gubernator nie odważyłby się. Kiedy rozmawiałem z nim zeszłej nocy...

Była to bardzo niefortunna wzmianka. Wściekłe wycie i przekleństwa wzbiły się pod niebiosa.

- Tak! Pojechałeś do niego sam! Żeby nas zdradzić! To prawda. Wazulis uciekł przez drzwi, które wyłamał czarnoksiężnik, i opowiedział wszystko naszym zwiadowcom napotkanym w Zaibarze. Wysłaliśmy ich, by cię szukali, kiedy nie wróciłeś na czas. Gdy usłyszeli opowieść Wazulisa, wrócili na Ghor, a my osiodłaliśmy konie i przypasaliśmy miecze.

- I co chcecie zrobić, głupcy? - spytał Cymerianin.

- Pomścić naszych braci! - zawyli. - Śmierć

Kszatrijasom! Zabić go - to zdrajca!

Wokół Conana posypały się strzały. Uniósł się w strzemionach próbując jeszcze raz przekrzyczeć hałas, po czym z rykiem wściekłości, protestu i zniechęcenia zawrócił konia i pogalopował z powrotem. Afgulisi ruszyli za nim miotając wściekle przekleństwa i groźby, zbyt rozjuszeni, by pamiętać, że aby dostać się na grań, po której jechał Conan, trzeba było udać się w przeciwnym kierunku, minąć zakręt i mozolnie pięć się krętym szlakiem w górę. Kiedy sobie o tym przypomnieli i zawrócili, ich były wódz już prawie dotarł do miejsca, gdzie grań przechodziła w skalną półkę.

Znalazszy się przy urwisku Conan nie pojechał szlakiem, którym przybył, lecz innym; ledwie widoczną ścieżynką usłaną głazami, o które potykał się ogier. Nie ujechał daleko, gdy rumak parsknął i rzucił się w bok widząc coś leżącego na drodze. Conan spojrzął z jego grzbietu na straszliwie poszarpaną, krwawą karykaturę człowieka, bełkoczącego coś przez połamane zęby.

Jedynie bogowie ciemności, rządzący losami czarnoksiężników, wiedzieli, w jaki sposób Khemsa zdołał wydostać się spod ogromnego usypiska głazów i wpłynąć

po stromym stoku na szlak.

Wiedziony jakimś dziwnym impulsem, Cymerianin zsiadł z konia i stanął nad okropnie okaleczonym ciałem. Wiedział, że jest świadkiem niezwykłego, przeciwnego naturze zjawiska. Khemsa podniósł okrwawioną głowę, a w jego dziwnych oczach, zasnutych cierpieniem i mrokiem zbliżającej się śmierci, pojawił się błysk świadomości.

- Gdzie oni są? - wyrzeźił chrapliwie głosem, który nie miał w sobie nic ludzkiego.

- Wrócili do swego przeklętego zamku na Imszę - mruknął Conan. - Zabrali Devi z sobą.

- Pójdę! - wybełkotał nieszczęśnik. - Pójdę tam! Zabili Gitarę; ja zabiję ich... akolitów, Czterech Czarnego Kręgu i samego władcę! Zabiję... wszystkich zabiję!

Usiłował powlec swoje okaleczone ciało dalej, lecz nawet jego nieposkromiona siła woli nie była już dłużej w stanie ożywiać tych krwawych strzępów, potrzaskanych kości trzymających się tylko na poszarpanych tkankach i poprzerrywanych ścięgnach.

- Idź za nimi! - wybełkotał Khemsa, tocząc z ust krwawą pianę. - Idź!

- Zamierzam to zrobić - warknął Conan. - Chciałem

skrzyknąć moich Afgulisów, ale zwrócili się przeciwko mnie. Jadę na Imszę sam. Odbiorę im Devi, nawet gdybym musiał rozszarpać tę przeklętą górę własnymi rękami. Nie sądziłem, że gubernator ośmieli się zabić moich naczelników, kiedy ja mam Devi, ale wygląda na to, że myliłem się. Zapłaci mi za to głową. Teraz nic potrzebuję jej już jako zakładniczki, ale...

- Niech spadnie na nich klątwa Izila! - dyszał Khemsa.

- Idź! Ja - Khemsa... umieram. Czeka... weź mój pas.

Poharataną ręką zaczął gmerać wśród strzępów odzienia i Conan, pojmując jego intencje, nachylił się i zdjął z okrwawionego ciała pas o dziwnym wyglądzie.

- W otchłani trzymaj się złotej żyły - mamrotał Khemsa. - Noś mój pas. Dostałem go od stygijskiego kapłana. Pomoże ci, chociaż mnie zawiódł. Stłucz kryształową kulę z czterema złotymi jabłkami granatu. Strzeż się przemian Władcy... Idę do Gitary... ona czeka na mnie w piekle... *aie, ya Skelos yar!*

Z tymi słowami umarł.

Conan popatrzył na pas, upleciony z włosów nie pochodzących z końskiej grzywy. Był przekonany, że pas został spleciony z czarnych, kobiecych loków. W gęstych

splotach tkwiły maleńkie klejnociki, jakich nigdy jeszcze nie widział. Sprzączka miała przedziwny kształt: wyobrażała płaską, klinowatą głowę żmii, pokrytą drobnymi złotymi łuskami.

Spoglądającemu na pas Conanowi zimny dreszcz przebiegł po plecach; zamachnął się, zamierzając cisnąć go w przepaść, ale po namyśle zapiął go na biodrach, chowając pod tym szerszym, bakariockim, który zawsze nosił. Później dosiadł konia i pojechał dalej.

Słońce schowało się za turnie. Conan piał się w górę przez ich długie cienie, okrywające niczym granatowy płaszcz doliny i skalne półki w dole. Już zbliżał się do szczytu, gdy posłyszał przed sobą stuk podkutych kopyt. Nie wahał się ani chwili. W rzeczy samej, ścieżka była tak wąska, że wielki ogier nie zdołałby zawrócić. Cymerianin minął skalny występ i- dotarł na nieco szerszy odcinek szlaku. Chór ostrzegawczych wrzasków rozdarł mu uszy, lecz jego ogier już przycisnął przestraszonego konia do skały, a Conan uwięził ramię jeźdźca w żelaznym uścisku, zatrzymując spadające ostrze w powietrzu.

- Kerim Szach! - mruknął Conan i w oczach zapaliły

mu się czerwone błyski.

Turańczyk nie stawiał oporu. Siedząc na koniach, niemal dotykali się piersiami, a dłoń Cymerianina zaciskała się na jego ramieniu. Za Kerim Szachem ciągnął rząd Irakzajczyków na wychudłych koniach. Spoglądali pałającymi oczyma na zagradzającego im drogę nieznanego, trzymając w pogotowiu luki i kindzały, lecz nie spiesząc się z ich użyciem ze względu na niebezpieczną bliskość ziejącej u ich stóp przepaści.

- Gdzie jest Devi? - zapytał Kerim Szach.

- Co ci do tego, hyrkański szpiegu? - warknął Conan.

- Wiem, że jest w twoich rękach - odparł Kerim Szach.

- Jechałem z góralami na północ, kiedy wpadliśmy w zasadzkę zastawioną przez wrogów na przełęczy Szalizah. Wielu moich ludzi zostało zabitych, a resztę ścigano jak stado szakali. Kiedy pozbyliśmy się prześladowców, skierowaliśmy się na zachód, ku przełęczy Amir Jehun, i dziś rano natknęliśmy się na wędrującego przez góry Wazulisa. Był zupełnie szalony, lecz zanim umarł, sporo dowiedziałem się z jego beładnej paplaniny. Powiedział mi, że był jedynym ocalałym z bandy, która ruszyła za wodzem Afgulisów i kszatrijaską branką do wąwozu przy

wiosce Kurum. Wciąż mówił o człowieku w zielonym turbanie, którego potrącił koń Afgulisa i który - zaatakowany przez ścigających tamtego Wazulisów - wygubił ich, niszcząc tak, jak jezior płomienia niszczy chmurę szarańczy. W jaki sposób on jeden uszedł z życiem, nie wiem, i on też nie wiedział, lecz z jego majaczeń zrozumiałem, że Conan z Ghor był w Kurum ze swą królewską branką. A kiedy przedzieraliśmy się przez góry, napotkaliśmy nagą, niosącą bukłak z wodą Galzajkę, która powiedziała nam, że została obrabowana i zniewolona przez olbrzymiego wojownika w stroju wodza Afgulisów, który - jak mówiła - zabrał jej ubranie dla towarzyszącej mu Vendianki. Dziewczyna twierdziła, że podążyłeś na zachód.

Kerim Szach nie uznał za stosowne wyjaśnić, że kiedy wrogo nastawieni górale zagrodzili mu drogę, właśnie jechał na umówione spotkanie z oddziałami turańskiej jazdy. Droga do Doliny Guraszah przez przełęcz Szalizah była dłuższa niż droga wiodąca przez przełęcz Amir Jehun, lecz ta ostatnia przecinała ziemie Afgulisów, których Kerim Szach wolał unikać, przynajmniej dopóki nie połączy się z armią. Odcięty od drogi biegnącej przez przełęcz Szalizah,

podążył jednak tym niebezpiecznym szlakiem, aż wieść, że Conan ze swoją branką nie dotarł jeszcze do Afgulistanu, skłoniła go do zawrócenia na południe i zuchwałej wyprawy w głąb gór w nadziei doścignięcia Cymerianina.

- Lepiej powiedz mi, gdzie jest Devi - zaproponował Kerim Szach. - Mamy przewagę liczebną...

- Niech tylko jeden z twoich psów dotknie cięciwy, a zrzucę cię w przepaść - obiecał mu Conan. - Poza tym nie wyszłoby ci na dobre, gdybyś mnie zabił. Ściga mnie pięciuset Afgulisów i gdyby stwierdzili, że pozbawiłeś ich tej przyjemności, obdarliby cię żywcem ze skóry. Ponadto nie mam Devi. Wpadła w ręce Czarnych Wróżbitów z Imszy.

- Na Tarima! - zaklął cicho Kerim Szach, po raz pierwszy tracąc swój niezmałowany spokój. - Khemsa...

- Khemsa nie żyje - mruknął Conan. - Jego dawni panowie wysłali go do piekła wraz z lawiną głazów. A teraz zejdz mi z drogi. Z radością zabiłbym cię, gdybym miał czas, ale spieszę na Imszę.

- Pojadę z tobą - rzekł nagle Turańczyk. Conan roześmiał mu się w twarz.

- Myślisz, że ci zaufam, ty hyrkański psie?

- Wcale o to nie proszę - odparł Kerim Szach. - Obaj chcemy schwytać Devi. Znasz moje powody: król Jezdigerd pragnie przyłączyć jej królestwo do swojego imperium, a ją umieścić w swoim seraju. Znam cię jeszcze z czasów, gdy byłeś hetmanem stepowych kozaków, i wiem, że jedyne, co cię interesuje, to grabież na wielką skalę. Chcesz splądrować Vendię i wycisnąć olbrzymi okup za Jasmine. Może na jakiś czas, nie żywiąc żadnych złudzeń co do siebie, połączymy siły i spróbujemy wyrwać Devi z rąk Wróżbitów. Jeżeli nam się uda i przeżyjemy, zadecydujemy w walce, kto ją zatrzyma.

Cymerianin spoglądał na niego przez chwilę zwężonymi oczami, a później skinął głową i puścił jego ramię.

- Zgoda, ale co z twoimi ludźmi?

Kerim Szach odwrócił się do milczących Irakzajczyków i rzekł krótko:

- Ten człowiek i ja zamierzamy udać się na Imszę i walczyć z czarnoksiężnikami. Jedziecie z nami, czy zostajecie tu i dacie się obedrzeć ze skóry Afgulisom, którzy ścigają swego wodza?

Popatrzyli na niego z ponurym fatalizmem. Byli

zgubieni i wiedzieli o tym - wiedzieli od chwili, gdy świszczące strzały Dagozajczyków zmusiły ich do ucieczki z przełęczy Szalizah. Zbyt często wybuchały krwawe waśnie między ludźmi z dolnego Zaibaru a mieszkańcami gór. Ich oddział był zbyt mały, by bez pomocy sprytnego Turańczyka mogli marzyć o przedarciu się do nadgranicznych wiosek. Uważali się już za nieżywych, toteż udzielili mu odpowiedzi, jaką mogli dać tylko ludzie zgubieni:

- Pójdziemy z tobą, by umrzeć na Imszy.

- Zatem ruszajmy, na Kroma! - mruknął Conan, wierząc się niespokojnie i spoglądając na granatowoniebieskie cienie zapadającego zmierzchu. - Te afguliskie wilki były o parę godzin jazdy za mną, ale straciliśmy wystarczająco dużo czasu.

Kerim Szach wycofał konia, schował miecz do pochwy i zawrócił ostrożnie. Po chwili wszyscy ruszyli w górę tak szybko, jak się wazyli. Wreszcie wyjechali na grań w odległości mili od miejsca, gdzie Khemsa zatrzymał Conana i Jasminę. Ścieżka, którą przyjechali, nawet dla górali była bardzo niebezpieczna i z tej przyczyny Conan jadąc z Jasminą obrał inną drogę; Kerim Szach podążał tedy tylko

dlatego, że spodziewał się, iż Cymerianin uczyni to samo. Nawet Conan odetchnął z ulgą, kiedy konie minęły ostatni zakręt. Jechali niczym kawalkada widm przemierzających zaczarowane królestwo cieni. Tylko cichy chrzęst skórzanej uprzęży i brzęk stali znaczyły ich przejście, a po chwili mroczne górskie zbocza leżały znów nagie i milczące w świetle gwiazd.

8. Jasmina jest obłędnie przerażona

Jasmina zdążyła tylko raz krzyknąć, gdy poczuła, że czerwony wir wciąga ją i z przerażającą siłą odrywa od Cymerianina. Natychmiast zabrakło jej tchu w piersiach. Straszliwy pęd powietrza ogłuszył ją, oślepił, odebrał mowę i czucie. Niejasno uświadomiła sobie, że znajduje się gdzieś wysoko i leci z oszalamiającą szybkością; miała wrażenie, że postradała zmysły; potem zakręciło jej się w głowie i zapadła w nicość.

Wspomnienie tych doznań pozostało jej, gdy odzyskała przytomność; krzyknęła głośno i rozłożyła ręce, jakby broniąc się przed upadkiem. Jej palce zacisnęły się na miękkiej tkaninie i dziewczyna poczuła głęboką ulgę. Rozejrzała się wokół.

Leżała na podium pokrytym czarnym aksamitem, w ogromnej, mrocznej komnacie o ścianach obwieszonych ciemnymi gobelinami, na których z odrażającym realizmem ukazano wijące się cielska smoków. Wyniosły strop komnaty krył się w gęstym mroku, a cienie zalegające w kątach przydawały nastroju ponurej grozy. Wydawało się, że pomieszczenie jest pozbawione okien i drzwi, lub też

były one ukryte za tymi koszmarnymi gobelinami. Jasmina nie potrafiła powiedzieć, skąd sączyło się przyćmione światło pozwalające dostrzec te szczegóły. Wielka sala była królestwem tajemnic, cieni i mrocznych kątów, skąd zdawał się wypęzać nieokreślony, dławiący lęk.

W końcu Jasmina zauważyła obiekt, który należał do materialnego świata. Kilka stóp dalej, na drugim, mniejszym postumencie siedział ze skrzyżowanymi nogami mężczyzna, spoglądając na nią w zadumie. Długa toga z czarnego aksamitu haftowanego złotem spowijała, całe ciało. Ręce miał ukryte w rękawach szaty, a na głowie aksamitną czapkę. Jego twarz była spokojna i łagodna, dość przystojna; oczy błyszczące, a zarazem nieco zamglone. Z kamienną twarzą przypatrywał się Jaśminie i w ogóle nie zareagował widząc, że odzyskała przytomność.

Jasmina poczuła lodowaty dreszcz strachu przebiegający po krzyżu. Oparła się na łokciach i z lękiem spojrzała na nieznanego.

- Kim jesteś? - spytała. - Jej głos zabrzmiał krucho i bezradnie.

- Jestem Władcą Imszy - odparł głębokim i dźwięcznym głosem, przypominającym spokojne uderzenia

świętynnych dzwonów.

- Po co mnie tu sprowadziłeś? - spytała.

- Czyż mnie nie szukałaś?.

- Jeżeli jesteś jednym z Czarnych Wróżbitów, to tak! - odparła zuchwale, przekonana, że i tak czyta w jej myślach.

Zaśmiał się cicho, a Jaśminie znów dreszcz przebiegł po plecach.

- Chciałaś podburzyć dzieci gór przeciw Wróżbitom Imszy! - roześmiał się. - Widzę to w twoich myślach, księżniczko. Twój wąty, ludzki umysł zapełniają śmieszne marzenia o zemście!

- Zabiliście mojego brata! - w głosie Devi narastający gniew walczył ze strachem; zacisnęła pięści i zeszywniała ze złości. - Czemu to zrobiliście? Nie wyrządził wam żadnej krzywdy. Kapłani mówią, że Wróżbici Imszy są wyżsi nad ludzkie sprawy. Dlaczego .więc zamordowaliście króla Vendii?

- Jak może zwykły śmiertelnik pojąć motywy Wróżbity? - odparł zimno władca. - Moi akolici w świątyniach Turanu, sprawujący władzę nad kapłanami Tarima, nalegali, abym działał dla dobra Jezdigerda. Z pewnych względów przystałem na to. Jak mam wyjaśnić

moje pobudki, abyś ogarnęła je swoim słabym umysłem? I tak nie pojmiesz.

- Pojmuję jedno: mój brat nie żyje! - wykrzyknęła Jasmina z żalem i wściekłością. Podniosła się na kolana i przesywała go spojrzeniem szeroko otwartych oczu, spięta do skoku jak pantera.

- Tak jak sobie życzył Jezdigerd - przytaknął chłodno jej rozmówca. - Moim chwilowym kaprysem jest wspierać jego ambicje.

- Czy Jezdigerd jest twoim wasalem? - Jasminą próbowała ukryć miotające nią uczucia. Właśnie natrafiła kolanem na coś twardego i symetrycznego, zakrytego przez fałdy aksamitu. Nieznacznie zmieniła pozycję i wsunęła rękę pod materiał.

- Czy pies zżerający resztki pod murem świątyni jest wasalem boga? - odparł Władca.

Wydawał się nie dostrzegać ukradkowych ruchów dziewczyny. Skryta w fałdach pośłania ręka natrafiła na coś, co musiało być rękojeścią sztyletu. Jasmina pochyliła głowę, by ukryć błysk triumfu w oczach.

- Lecz mam już dość Jezdigerda - rzekł Władca. - Znalazłem sobie inną rozrywkę... Ha!

Jasmina skoczyła jak kocica i z dzikim krzykiem wymierzyła mordercze pchnięcie. Nagle potknęła się, upadła na posadzkę i przywarła do niej, patrząc na niedoszłą ofiarę. Człowiek siedzący na podium nawet nie drgnął, a z jego twarzy nie zniknął tajemniczy uśmiezek. Jasmina podniosła drżącą dłoń i spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. W ręku nie trzymała sztyletu, ale kwiat złotego lotosu o pogniecionych płatkach i złamanej łodyżce.

Odrzuciła lotos, jakby to była jadowita żmija, i na kolanach odsunęła się od prześladowcy. Wróciła na swoje podium, ponieważ uznała to za bardziej godne królowej niż pełzanie po podłodze u stóp czarnoksiężnika, i spojrzała na niego z lękiem, oczekując odwetu.

Jednak Władca nie poruszył się.

- Każda materia jest taka sama dla tego, kto posiada klucz do bram Kosmosu - rzekł niezrozumiale. - Dla biegłego w Sztuce nie ma rzeczy niezmiennych. Wedle jego woli w nieziemskich ogrodach zakwita stal albo kwiat błyska ostrzem miecza w świetle księżyca.

- Jesteś diabłem! - szlochała.

- Nie! - zaśmiał się. - Urodziłem się na tej planecie, dawno temu. Kiedyś byłem zwyczajnym człowiekiem i w

ciągu niezliczonych eonów posługiwania się Sztuką nie zatraciłem wszystkich atrybutów człowieczeństwa. A człowiek, który zgłębił Czarną Sztukę, jest potężniejszy od diabła. Jestem człowiekiem, lecz władam demonami. Widziałaś Panów Czarnego Kręgu; gdybym ci powiedział, z jak odległych królestw ich wezwałem i przed jakim losem chroni ich mój zaczarowany kryształ oraz złote żmije, postradałabyś zmysły z przerażenia. I tylko ja jestem ich panem. Mój głupi Khemsa marzył o wielkości - biedny dureń rozbijający bramy i przenoszący się razem ze swoją kochanką w powietrzu, ze szczytu na szczyt! Jednak gdybym go nie zabił, pewnego dnia mógł się stać równie potężny, jak ja.

Znów się roześmiał.

- A ty, niemądre stworzenie, intrygowałaś chcąc wysłać włochoatego wodza górali na podbój Imszy! To świetny żart; gdyby tylko przyszło mi to do głowy, sam postarałbym się, byś wpadła w jego ręce. I czytam w twoich myślach, że nawet wtedy, gdy cię pojmał, nie poniechałaś myśli o uczynieniu go swym narzędziem, zamierzając użyć swych kobiecych sztuczek. Jednak mimo całej swej głupoty jesteś kobietą, na którą przyjemnie popatrzeć. Mam zamiar

zatrzymać cię jako niewolnicę.

Słyszac te słowa spadkobierczyni tysiąca dumnych imperatorów krzyknęła ze wstydem i wściekłością.

- Nie ośmielisz się!

Jego drwiący śmiech smagnął ją jak batem.

- Król nie ośmieli się zdeptać robaka na swej drodze?

Głuptasie, nie rozumiesz, że twoja królewska duma znaczy dla mnie tyle, co źdźbło słomy na wietrze? Ja, który całowałem królowe piekieł! Widziałaś, jak rozprawiam się z tymi, którzy mi się sprzeciwiają!

Skulona ze strachu dziewczyna klęczała na aksamitnym posłaniu. Światło przygasło i w komnacie zrobiło się mroczniej. Twarz Władcy przybrała upiorny wygląd. W jego głosie pojawił się nowy, rozkazujący ton.

- Nigdy ci nie ulegnę! - powiedziała drżącym ze strachu, lecz zdecydowanym głosem.

- Ulegniesz - odrzekł ze straszliwą pewnością siebie. - Strach i ból nauczą cię pokory. Będę cię chłostał przerażeniem i grozą do granic twojej wytrzymałości, aż staniesz się w moich rękach jak wosk; miękka i podatna na każde życzenie. Doświadczysz cierpień, jakich nie zaznała żadna śmiertelna kobieta, dopóki każdy mój rozkaz nie

stanie się dla ciebie wolą bogów. Najpierw, by ukorzyć twą dumę, podążysz z powrotem w zapomnianą przeszłość i ujrzysz wszystkie swe poprzednie wcielenia. Aie, yil la khosa!

Przy tych słowach mroczna komnata zafalowała przed oczyma wystraszonej Jaśminy. Włosy stanęły jej dęba na głowie, a język przywarł do podniebienia. Skądś nadleciał głęboki, złowieszczy dźwięk gongu. Smoki na gobelinach rozbłysły niebieskawym płomieniem i zniknęły. Siedzący na podium Władca stał się tylko bezkształtnym cieniem. Szary półmrok zmienił się w gęstą i miękką, niemal namacalną ciemność, pulsującą dziwnym promieniowaniem. Jasmina nie mogła już dostrzec Władcy. Nic nie widziała. Miała niejasne wrażenie, że ściany i sufit oddalają się od niej, nikną.

Wtem gdzieś w ciemności pojawił się płomyk, zapalający się i gasnący jak nocny robaczek. Powiększył się do rozmiarów piłki, pojaśniał, stał się oślepiająco biały. Nagle rozprysnął się, sypiąc deszczem iskier, które nie rozjaśniły mroku. W komnacie pozostała jednak słaba poświata, pozwalająca dostrzec czarny, smukły pień strzelający w górę z kamiennej posadzki. Na oczach

oszołomionej Jaśminy pień wypuścił odnogi, nabrał kształtu; pojawiły się gałęzie, szerokie liście i wielkie, czarne trujące kwiaty, kłoniące się nad skuloną na podium dziewczyną. W powietrzu rozszedł się subtelny zapach. To straszliwy czarny lotos wyrósł w oka mgnieniu z posadzki, tak jak rośnie w tajemniczych, nieprzebytych dżunglach Kitaju.

Szerokie liście kołysały się ze złowrogim szelestem. Kwiaty chyliły się ku Jasminie jak rozumne stworzenia, pląsając węzowatymi ruchami na bladawych łodyżkach. Ledwie widoczne na tle gęstych, nieprzeniknionych ciemności, unosiły się nad nią jak gigantyczne ćmy, w jakiś niejasny sposób dając znać o swoim istnieniu. Ich odurzający zapach przyprawiał o zawrót głowy i Jasmina próbowała spełznąć z podium, ale natychmiast przywarła do niego kurczowo, gdy podłoga przechyliła się pod nieprawdopodobnym kątem. Devi krzyknęła z przerażenia i spazmatycznie zacisnęła dłonie, lecz brutalna siła rozwarła jej palce. Miała wrażenie, że postradała wszystkie zdrowe zmysły, a cały świat rozsypał się w gruzy. Była drżącym atomem świadomości unoszonym wśród czarnej, ryczącej, lodowato zimnej pustki przez wiatr, który groził

zdmuchnięciem wątego płomyczka jej egzystencji, jak tchnienie burzy gasi palącą się świecę.

Później poczuła nagły impuls i ruch, kiedy atom, jakim się stała, zmieszał się i stopił z miriadami innych, rodząc życie w fermentującym bagnie pierwotnego bytu; ugniatana przez kreujące dłonie Natury, znów stała się świadomą jednostką wirującą wolno po nieskończonej spirali indywidualnego istnienia.

Zdjęta przerażeniem, ujrzała i poznała swoje poprzednie wcielenia i znów była wszystkimi tymi ciałami, które w przeciągu minionych wieków zawierały jej ego. Znów raniła swe stopy na długiej, nużącej drodze trwania, ciągnącej się za nią w niepamiętną Przeszłość. Znów kuliała się drżąca w pierwotnych dżunglach przed prapoczątkiem Czasu, ścigana przez krwiożercze bestie. Odziana w skóry, brnęła po kolana w wodzie przez bagniste ryżowiska, walcząc z kwaczącym ptactwem o cenne ziarna. Mozoliła się z parą mułów, ryjąc zaostrzonym kołkiem oporną ziemię i w nieskończoność pochylała się nad krosnami w wieśniaczych chatkach.

Widziała miasta w płomieniach i uciekała z wrzaskiem przed zabójcami. Biegła naga i okrwawiona po gorącym

piasku, wleczona na arkanie łowcy niewolników i poznała palący dotyk brutalnych rąk na swym ciele, wstyd i mękę gwałtownej żądy. Wrzeszczała pod razami bata i jęczała łamana kołem; oszalała z przerażenia, wyrywała się oprawcom nieubłaganie przechylającym jej głowę na zakrwawiony pień.

Poznała męki porodu i gorycz zdradzonej miłości. Cierpiała wszystkie tortury, krzywdy i nieszczęścia, jakie męczyzna wyrządzał kobiecie w ciągu eonów; znosiła całą pogardę i złość, jaką kobieta może obdarzyć kobietę. A przez cały czas zachowała piekącą jak smagnięcie batem świadomość tego, kim jest. Będąc wszystkimi osobami, którymi była w przeszłości, wiedziała jednocześnie, że jest Jasminą. Ani na chwilę nie przestała zdawać sobie z tego sprawy. Była jednocześnie nagą niewolnicą kulącą się pod razami bicia i dumną władczynią Vendii. I cierpiała nie tylko jako niewolnica, lecz także jako Devi Jasmina, której dumna natura odczuwała ciosy bata jak dotknięcie rozżarzonego żelaza.

Jedno życie stapało się z drugim w wirującym chaosie, a każde niosło swoje brzemie nieszczęść, wstydu i cierpień, aż gdzieś w oddali usłyszała swój przeraźliwy wrzask,

niczym jeden przeciągły krzyk bólu, odbijający się echem przez wieki.

Wtedy obudziła się na pokrytym aksamitem pościeliu, w mrocznej komnacie.

W upiornym, przyćmionym świetle znów zobaczyła podium i siedzącą na nim postać w czarnej szacie. Kaptur zakrywał jej lekko pochyloną głowę, a wąskie ramiona były ledwie widoczne w rozpościerających się wokół ciemnościach. Jasmina nie mogła dojrzeć żadnych szczegółów, ale widok kaptura zamiast aksamitnej czapeczki budził w niej niejasny niepokój. Wyteżyła wzrok i poczuła dziwny, zapierający dech w piersi lęk; miała wrażenie, że to nie Władca siedzi tak spokojnie opodal...

Nagle postać poruszyła się i wstała, spoglądając na nią z wysoka. Pochyliła się i objęła ją długimi ramionami, ukrytymi w obszernych rękawach czarnej togi. Jasmina opierała się w zaciekłym milczeniu, przestraszona i zdziwiona szczupłością ściskających ją rąk. Zakapturzona głowa nachyliła się do odwróconej twarzy dziewczyny. Jasmina krzyknęła przeraźliwie, zdjeta przerażeniem i odrazą. Jej jędrne ciało obejmowały kościste ręce, a spod kaptura wyglądała twarz będąca uosobieniem śmierci i

rozkładu - upiorna czaszka obciągnięta przegniłą jak stary pergamin skórą.

Jasmina krzyknęła jeszcze raz, po czym - gdy kłapiące, wyszczerzone szczęki zbliżyły się do jej ust - straciła przytomność...

9. Zamek czarnoksiężników

Nad białymi szczytami Himelii wstało słońce. U podnóża długiego stoku zatrzymała się grupa jeźdźców, spoglądając w górę. Wysoko nad ich głowami, na zboczu góry, wznosiła się kamienna wieża. Dalej i wyżej biegły mury jeszcze potężniejszej warowni, stojącej tuż przy linii wiecznych śniegów okrywających szczyt Imszy. Widok ten miał w sobie coś nierealnego; purpurowe zbocza wiodły do fantastycznego zamku wyglądającego jak dziecinna zabawka, a białe błyszczący szczyt za nim zdawał się wbijać w zimny błękit nieba.

- Zostawimy tu wierzchowce - mruknął Conan. - Ten zdradliwy stok lepiej przebyć pieszo. Poza tym konie mają dość.

Zeskoczył z czarnego ogiera, który stał na szeroko rozstawionych nogach i ze spuszczonego łbem. Przez całą noc parli naprzód, pożywiając się resztkami wygrzebanymi z juków i przystając tylko po to, by dać koniom odetchnąć.

- W tej wieży mieszkają akolici Czarnych Wróżbitów - rzekł Conan. - Czy też, jak ich nazywają, psy łańcuchowe swoich panów. Nie będą siedzieć z założonymi rękami,

kiedy zobaczą nas na stoku.

Kerim Szach zerknął w górę, na drogę, którą przybyli; znajdowali się już wysoko na zboczu Imszy. Turańczyk na próżno wypatrywał w tym labiryncie jakiegokolwiek ruchu zdradzającego nadchodzącą pogoń. Najwidoczniej Afgulisi zgubili w nocy ślad swojego wodza.

- Chodźmy więc!

Uwiązali zmęczone konie przy kępie tamaryszków i bez dalszych komentarzy ruszyli pod górę. Byli widoczni jak na dłoni. Nagi stok był usłany głazami zbyt małymi, aby mógł się za nimi ukryć człowiek. Mogły jednak służyć za kryjówkę innym stworzeniom.

Nie uszli jeszcze pięćdziesięciu kroków, gdy zza jednego z kamieni wypadł warczący stwór, tocząc pianę z pyska i błyskając nabiegłymi krwią ślepiami. Conan szedł jako pierwszy, ale pies nie zaatakował go. Przemknął obok i rzucił się na Kerim Szacha. Turańczyk odskoczył w bok i wielkie zwierzę wpadło na idącego za nim Irakzajczyka. Wojownik krzyknął i zasłonił się ramieniem. Bestia obaliła go na wznak rozszarpując rękę i w następnej chwili padła pod ciosem tuzina szabel. Nie zaniechała jednak prób pochwycenia w szczęki kolejnej ofiary, dopóki nie została

dosłownie porąbana na kawałki.

Kerim Szach owinął rannemu rozcięte ramię, spojrzął nań uważnie i odwrócił się bez słowa. Dołączył do Conana i wszyscy w milczeniu wznowili wspinaczkę.

W końcu Kerim Szach powiedział:

- To dziwne, że wioskowy kundel zabłąkał się aż tutaj.

- Nie ma tu nic do zarcia - przytaknął Cymerianin.

Obaj odwrócili głowy i spojrzeli na rannego wojownika, maszerującego za nimi wśród innych Irakzajczyków. Jego ciemna twarz błyszczała od potu, a wykrzywione grymasem bólu wargi odsłaniały wyszczerzone zęby. Conan i Kerim Szach znów popatrzyli na wznoszącą się przed nimi kamienną wieżę.

Nad wyżyną zaległa senna cisza. Ani na wieży, ani na murach stojącej za nią, podobnej do piramidy budowli nie zauważyli śladu ruchu. Podążający ku niej mężczyźni szli w napięciu, jak ludzie spacerujący po krawędzi wulkanu. Kerim Szach zdjął z ramienia potężny, turański łuk, który zabijał na pięćset kroków; Irakzajczycy sięgnęli po swoje - lżejsze i o mniejszym zasięgu.

Nie zdążyli jednak jeszcze podejść do wieży na odległość strzału z łuku, gdy coś niespodziewanie spadło na

nich z bezchmurnego nieba. Przeleciało tak blisko Cymerianina, że ten poczuł muśnięcie łopoczących skrzydeł na twarzy, lecz to nie on, lecz następny Irakzajczyk zachwiał się i upadł, brocząc krwią z rozdartej tętnicy. Sokół o piórach barwy polerowanej stali, z okrwawionym, wygiętym jak bułat dziobem, znów wzbił się w niebo i znieruchomiał nagle, gdy brzęknęła cięciwa łuku Kerim Szacha. Ptak runął jak kamień, ale żaden z mężczyzn nie potrafił wskazać miejsca, gdzie uderzył o ziemię.

Conan pochylił się nad ofiarą ataku, lecz wojownik już nie żył. Nikt się nie odezwał; nie było sensu roztrząsać tego faktu ani tego, że jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by sokół zaatakował człowieka. W duszach dzikich Irakzajców wściekłość współzawodniczyła z fatalistyczną apatią. Owłosionymi rękami ściskali łuki i rzucali mściwe spojrzenia w kierunku wieży, której bezruch zdawał się z nich szydzić.

Następny atak przyszedł szybko. Wszyscy to zobaczyli - biały kłęb dymu przetoczył się przez krawędź wieży i spłynąwszy w dół, potoczył się do stoku. Za nim pojawiły się następne. Wyglądały niegroźnie, jak puszyste kule mętnej piany, lecz Conan odsunął się na bok, unikając zetknięcia z

pierwszą. Jeden z Irakzajczyków idących za nim wyciągnął rękę i dźgnął mieczem białą chmurę. Rozległ się ogłuszający huk. Kłęb dymu .zniknął w oślepiającym rozbłysku, a ze zbyt ciekawego wojownika pozostała tylko kupka zwęglonych, poczerniałych kości. Pomarszczona dłoń wciąż zaciskała się na rękojeści z kości słoniowej, ale ostrze miecza stopiło się i wyparowało w strasznym żarze. Mimo to inni wojownicy, nawet ci stojący o wyciągnięcie ręki od ofiary, nie ponieśli szwanku; byli tylko oszołomieni i trochę oślepieni nagłym błyskiem.

- Wybuchu w zetknięciu z żelazem - mruknął Conan. - Spójrz, nadciągają!

Stok powyżej był prawie pokryty toczącymi się kulami. Kerim Szach naciągnął cięciwę i wysłał strzałę w największy ich gąszcz. Trafiony grotem obłok rozprysnął się jak bańka mydlana, tryskając ogniem. Pozostali wojownicy poszli za przykładem Turańczyka i przez kilka chwil na zboczu szalała burza, waliły pioruny i błyskawice sypały deszczem iskier. Kiedy białe kłęby zniknęły, w kołczanach łuczników pozostało niewiele strzał.

Zaciekle darli się w górę, po zwęglonej i poczerniałej

ziemi, omijając miejsca, gdzie naga skała zmieniła się w lawę od żaru tych piekielnych wybuchów.

Wreszcie dotarli na odległość strzału z łuku i rozciągnęli szyki, nerwowo wypatrując następnej koszmarnej niespodzianki szykowanej przez obrońców wieży.

Na murach pojawiła się samotna postać, niosąca dziesięciostopowy mosiężny róg. Chrapliwy ryk przetoczył się po stoku niczym dźwięk trąb na Sąd Ostateczny. Natychmiast odpowiedziało mu głucho dudnienie i łoskot dobywający się z podziemnych głębi. Grunt zatrzęsł się pod stopami wojowników.

Irakzajczycy z okrzykami przerażenia zaczęli się zataczać jak pijani na rozdygotanym zboczu, lecz Conan z wściekłym błyskiem w oku i kindzałem w garści pomknął jak wicher po pochyłości, prosto do widniejących w ścianie drzwi. W górze rozbrzmiewał drwiący ryk i skowyt wielkiego rogu. Kerim Szach przyciągnął strzałę do ucha i zwolnił cięciwę.

Tylko Turańczyk mógł oddać taki strzał. Głos rogu urwał się nagle i wysoki, przenikliwy krzyk przeszył powietrze. Stojąca na wieży postać w zielonej szacie

zachwiała się, szarpiąc sterczące w piersi długie drzewce, po czym przechyliła się przez parapet i runęła w dół. Wielki róg potoczył się i zawisł na krawędzi muru; inna postać w zielonej todze skoczyła, by go schwycić. Znowu brzęknęła cięciwa i znów odpowiedział jej wrzask agonii. Drugi akolita padając strącił łokciem róg, który roztrzaskał się na głazach u stóp wieży.

Conan z taką szybkością przebył przestrzeń dzielącą go od drzwi, że jeszcze nie przebrzmiały dudniące echa tego upadku, a już rąbał w nie ostrzem swej broni. Instynktownie cofnął się, unikając porcji wylanego z góry roztopionego ołowiu. W następnej chwili znów był przy bramie, atakując ją ze zdwojoną furją. Fakt, że wrogowie uciekli się do takich pospolitych sposobów, dodał mu ducha. Czary akolitów podlegały jednak jakimś ograniczeniom. Być może wyczerpali już wszystkie zasoby swoich czarnoksięskich sztuczek.

Zboczem nadbiegł Kerim Szach, a za nim reszta słaniających się wojowników. W biegu wypuszczali strzały, które ze świstem przelatywały za mur lub roztrzaskiwały się o blanki.

Grube, tekowe drzewo ustąpiło pod ciosem

Cymerianina, który zajrzał ostrożnie do środka, przygotowany na najgorsze. Zobaczył owalną komnatę i wiodące w górę kręte schody. Po przeciwnej stronie szeroko otwarte drzwi ukazywały stok... i plecy pół tuzina zielono odzianych postaci zmykających ile sił w nogach.

Conan zawył i skoczył do środka, lecz wrodzona ostrożność kazała mu przystanąć i rzucić się w tył o mgnienie oka wcześniej, nim ogromny, kamienny blok z trzaskiem runął na posadzkę w miejscu, gdzie przed chwilą postawił stopę. Cymerianin pognał wzdłuż muru, krzykiem wzywając pozostałych, aby szli w jego ślady.

Akolici wycofali się z pierwszej linii obrony. Gdy Conan obiegnął wieżę, zobaczył ich zielone sylwetki wysoko w górze. Dysząc żądzą zemsty popędził za nimi, a Kerim Szach i Irakzajczycy deptali mu po piętach. Chwilowy triumf kazał im zapomnieć o wrodzonym fatalizmie; na widok uciekających wrogów zawyli jak stado wilków.

Wieża stała na dolnym krańcu wąskiego płaskowyzu, niemal niedostrzegalnie nachylonego do stoku. Po kilkuset jardach płaskowyz kończył się nagle głęboką rozpadliną, zupełnie niewidoczną z dołu. Do tej rozpadliny skoczyli akolici, nawet nie zwolniwszy kroku. Ścigający zobaczyli

tylko ich rozwiane zielone szaty znikające za krawędzią urwiska.

W kilka chwil później ścigający również stanęli na skraju fosy oddzielającej ich od zamku Czarnych Wróżbitów. Jak okiem sięgnąć, w obie strony biegł szeroki na tysiąc i głęboki na pięćset stóp wąwóz o pionowych ścianach, najwidoczniej opasujący cały wierzchołek Imszy. Od brzegu do brzegu wypełniała go dziwna, skrząca się i błyszcząca przejrzysta mgła.

Conan spojrział w dół i zaklął pod nosem. Dostrzegł odzianych na zielono akolitów, pospiesznie przemierzających błyszczące niczym srebro dno doliny. Ich sylwetki były zamazane i niewyraźne, jakby zanurzone w głębokiej wodzie. Szli rzędem, kierując się ku przeciwległej ścianie fosy.

Kerim Szach napiął łuk i wypuścił świszczącą strzałę. Jednak pocisk wpadłszy w mgłę wypełniającą rozpadlinę zdawał się gwałtownie tracić szybkość i zboczywszy, padł daleko od celu.

- Jeżeli oni zdołali tam zejść, to my też możemy! - mruknął Conan do stojącego obok Kerim Szacha, który ze zdumieniem patrzył na lot swojej strzały. - Widziałem, że

szli tędy...

Wytężywszy wzrok dostrzegł w dole coś, co przypominało złotą nić, rozciągniętą przez całą szerokość kanionu. Akolici szli wzdłuż tej nici i nagle Cymerianin przypomniał sobie niezrozumiałe słowa Khemisy: „trzymaj się złotej żyły”! Pochyliwszy się, znalazł na brzegu rozpadliny cienki pas skrzącego się złota; powierzchniowe złoża biegło w dół i przez srebrne dno parowu. Zobaczył też coś innego: coś, czego przedtem nie mógł zauważyć z powodu szczególnego załamania się światła. Złota żyła biegła wzdłuż wąskiej rampy opuszczającej się na sam dół i zaopatrzonej w wyłobienia dla rąk i nóg.

- A więc to w ten sposób zeszli na dół - rzekł do Kerim Szacha. - Nie potrafią unosić się w powietrzu. Pójdziemy za...

W tejże chwili mężczyzna ugryziony przez psa krzyknął okropnie i skoczył na Kerim Szacha, szczerząc zęby i tocząc z ust pianę. Zwinny jak kot Turariczyk odskoczył w bok i szalenie runął głową w dół do parowu. Pozostali podbiegli do krawędzi i szeroko otworzyli oczy ze zdumienia. Mężczyzna wcale nie spadł jak kamień na dno rozpadliny, lecz spływał wolno przez różową mgiełkę,

niczym człowiek tonący w wodzie. Kończynami wykonywał gwałtowne ruchy, a jego spurpurowiała i konwulsyjnie wykrzywiona twarz wyrażała raczej ból niż szaleństwo. W końcu opadł na błyszczące dno fosy i legł bez ruchu.

- W tej rozpadlinie czyha śmierć - wymamrotał Kerim Szach, cofając się przed różową mgiełką, która sięgała prawie do jego stóp. - I co teraz, Conanie?

- Idziemy dalej! - odparł ponuro Cymerianin. - Ci akolici to zwykli ludzie; jeżeli mgła nie zabiła ich, nie zabije też nas.

Podciągnął pas i mimochodem dotknął przy tym daru Khemsy. Zmarszczył brwi i uśmiechnął się blado. Zupełnie zapomniał o tym pasie; a jednak trzykrotnie śmierć ominęła go, powalając inną ofiarę.

Akolici dotarli do przeciwległej ściany i pełzli po niej jak wielkie zielone muchy. Conan wszedł na rampę i zaczął ostrożnie schodzić. Różowa chmura otoczyła mu stopy i przesuwała się wyżej, w miarę jak opuszczał się po rampie. Sięgnęła mu do kolan, do ud, później do pasa i do ramion. Czuł ją wokół siebie jak gęsty opar w wilgotną noc. Gdy dotarła mu do szyi, zawahał się, ale zanurzył w niej głowę. Natychmiast zaczął się dusić; nieubłagana siła

pozbawiła go tchu i objęła miazdzącym zebra uściskiem. Conan rozpaczliwie skoczył w górę, walcząc o życie. Wystawił głowę na powierzchnię i wielkimi haustami łapał powietrze.

Kerim Szach pochylił się nad nim mówiąc coś, lecz Conan nie słyszał i nie zwrócił na to uwagi. Myślami uparcie powracał do wskazówek umierającego Khemisy. Spróbował wymacać złotą żyłę i stwierdził, że schodząc pozostawił ją nieco z boku. Spostrzegł szereg wyżłobionych w rampie wgłębień dla rąk i nóg. Stanąwszy dokładnie na żyłę, zaczął się ponownie opuszczać. Różowa mgiełka otoczyła go i wkrótce zakryła zupełnie. Głowę miał pod powierzchnią, ale stojąc na złotej żyłę wciąż mógł oddychać. W górze zobaczył twarze spoglądających na niego towarzyszy, nieco rozmazane przez błyszczącą mgiełkę. Gestem pokazał, aby szli za nim, i spiesznie ruszył w dół, nie czekając, aż pójdą za jego przykładem.

Kerim Szach bez słowa wepchnął miecz do pochwy i poszedł w ślady Cymerianina, a Irakzajczycy podążyli za nim, bardziej obawiając się utraty przywódcy i przewodnika w jednej osobie niż wszystkich okropności, jakie mogły się kryć w rozpadlinie. Trzymali się złotego

pasma, tak jak pokazał im Cymerianin..

Opuścili się na dno fosy i powędrowali srebrzystą równiną, krocząc po złotym paśmie, jak ludzie stąpający po linie rozpiętej nad przepaścią. Szli jakby niewidzialnym tunelem, przez który przepływało powietrze. Ze wszystkich stron napierała na nich śmierć.

Ścieżka, którą umknęli akolici, biegła do rampy po drugiej stronie rozpadliny i znikła za krawędzią. Ruszyli ku niej, w napięciu oczekując spotkania z nieznanym niebezpieczeństwem kryjącym się wśród ostrych głazów, którymi był najeżony skraj urwiska.

Czekali tam na nich odziani w zielone szaty, uzbrojeni w noże akolici. Może w swojej ucieczce dotarli do granicy, której nie mogli przekroczyć. Może opasujący brzuch Conana stygijski pas był przyczyną-tego, że ich zaklęcia okazały się tak słabe i nieskuteczne. Może wiedząc, że to niepowodzenie zostanie ukarane śmiercią, postanowili użyć ostatniego sposobu i z nożami w rękach wypadli zza skał.

Wśród poszarpanych głazów rozgorzała krwawa walka, w której posługiwano się nie sztuką czarnoksiężką, lecz żelazem. Szczekała stal i spadające ze świstem ostrza przecinały ciało; żyłaste ramiona zadawały potężne ciosy;

płynęła krew, a padający byli tratowani stopami walczących.

Wprawdzie jeden z Irakzajczyków wykrwawił się na śmierć, ale akolici zginęli co do jednego - pocięci i porąbani na kawałki, zrzuceni do fosy, gdzie wolno opadali na lśniące daleko w dole srebrzyste dno.

Zwycięzcy otarli z czoł krew i pot, spoglądając po sobie. Oprócz Conana i Kerim Szacha jeszcze czterech Irakzajczyków wyszło cało z potyczki.

Stali wśród poszarpanych skał tworzących zębatą krawędź rozpadliny. Wijąca się po łagodnym stoku ścieżka prowadziła stamtąd do szerokich schodów, zbudowanych z pół tuzina stopni z zielonego, przypominającego nefryt kamienia. Schody wiodły na szeroką galerię z tego samego polerowanego materiału, a za nią, piętro po piętrze, wznosił się zamek Czarnych Wróżbitów. Wydawało się, że wykuto go w pionowym skalnym urwisku. Architektura zamku była piękna, choć pozbawiona, ozdób. Liczne okna były zamknięte i zasłonięte okiennicami. Nigdzie nie dostrzegli śladu życia, przyjaznej czy wrogiej istoty.

Bez słowa poszli ścieżką, ostrożnie jak ludzie

zbliżający się do siedliska żmij. Irakzajczycy maszerowali jak w transie, niczym idący na pewną śmierć. Nawet Kerim Szach milczał. Tylko Conan zdawał się nie pojmować, jakim ogromnym wyłomem w powszechnie przyjętych poglądach był ich czyn; jakim bezprzykładnym pogwałceniem tradycji. On nie pochodził ze Wschodu; spłodziła go rasa, która walczyła z demonami i czarnoksiężnikami równie zaciekle i skutecznie co z ludzkimi wrogami.

Wszedł po błyszczących schodach i przez szeroką, zieloną galerię przeszedł do widniejących po drugiej stronie obitych złotem drzwi z tekowego drzewa. Obrzucił czujnym spojrzeniem wyższe piętra wznoszącej się przed nim wielkiej piramidy zamku. Wyciągnął rękę do mosiężnego uchwyty, który sterczał z drzwi jak klamka - i z krzywym uśmiechem zatrzymał się w pół drogi. Klamka miała kształt żmii o wygiętym karku i uniesionej głowie; Conan podejrzewał, że metalowy gad może nagle ożyć pod dotknięciem jego dłoni.

Jednym ciosem odrąbał uchwyt i brzęk mosiądzu na szklistej posadzce wcale nie uciszył jego podejrzeń. Końcem kindżału odrzucił klamkę na bok i znów odwrócił się do

drzwi. Wokół panowała niezmacona cisza. Różowa mgiełka otulała dalekie szczyty. Słońce błyszczało na okrytych śniegiem wierzchołkach. Wysoko w górze zawisł sęp - niczym czarny punkcik na błękitie nieba. Prócz niego jedynymi żywymi istotami byli ludzie stojący przed obitymi złotą blachą drzwiami; maleńkie figurki na galerii z zielonego nefrytu przylepionej do stoku ogromnej góry - Imszy.

Smagnął ich zimny wiatr spadający z lodowców, szarpiąc łachmanami szat. Kindżał Conana spadając na masywne drzwi wywoływał grzmiące echa. Cymerianin uderzał raz po raz, przecinając metalowe listwy i tekowe drewno. Po chwili ostrożnie zajrzał do środka przez wybity otwór. Ujrzał obszerną komnatę o nagich ścianach z wygładzonego kamienia i mozaikowej posadzce. Jedyne meblowanie stanowiły stołki z polerowanego hebanu i kamienne podium. Nigdzie nie dostrzegł śladu ludzkiej obecności. Po przeciwnej stronie komnaty zobaczył następne drzwi.

- Zostaw strażnika na zewnątrz - mruknął. -
Wchodzimy do środka.

Kerim Szach wyznaczył wojownika, który miał pełnić

wartę, i wskazany z łukiem w ręku wrócił na środek galerii. Conan wszedł do zamku, a za nim Turańczyk i trzech pozostali Irakzajczycy. Wartownik przed drzwiami splunął, mruknął coś pod nosem i drgnął gwałtownie, słysząc cichy, drwiący śmiech. Podniósł głowę i zobaczył stojącą na piętrze wysoką, czarno odzianą postać, która spoglądała na niego pogardliwie, szyderczo kiwając głową. Irakzajczyk błyskawicznie naciągnął cięciwę i wypuścił strzałę, która śmignęła w górę i wbiła się w opiętą czarną togą pierś. Drwiący uśmiech nie zniknął z ust Wróżbity; mag wyrwał pocisk z ciała i wzgardliwym gestem odrzucił go łucznikowi. Wojownik odskoczył, instynktownie zasłaniając się ręką. Jego palce zacisnęły się na koziółkującym w powietrzu drzewcu.

Irakzajczyk wydał przeraźliwy wrzask. Drewniana strzała w jego ręku zaczęła się wić. Proste drzewce nagle stało się giętkie, jakby stopniało w jego dłoni. Próbował odrzucić to coś od siebie, lecz było już za późno. Zimne sploty otoczyły mu przegub, a paskudny, klinowaty łeb pomknął ku muskularnemu ramieniu. Wojownik krzyknął ponownie; twarz nabiegła mu purpurą, a oczy zdawały się wychodzić z orbit. Wstrząsany straszliwymi konwulsjami

osunął się na ziemię i znieruchomiał.

Mężczyźni, którzy weszli do zamku, zawrócili na jego pierwszy okrzyk. Conan spiesznie podszedł do wyważonych drzwi i stanął jak wryty, zbity z tropu. Patrzącym na to towarzyszom wydawało się, że Cymerianin mocuje się z powietrzem. Mimo że niczego nie mógł dostrzec, czuł pod palcami śliską, gładką powierzchnię i zrozumiał, iż przejście zostało zamknięte kryształową płytą. Widział przez nią nieruchomo leżącego na środku galerii Irakzajczyka z pierzastą strzałą tkwiącą w ramieniu.

Conan uniósł kindżał i uderzył, a patrzący z osłupieniem kompani zobaczyli, jak ostrze odskakuje od niewidocznej przeszkody z głośnym brzękiem, jakby stał napotkała twardą substancję. Conan zaniechał dalszych prób. Wiedział, że nawet legendarny miecz Amir Kuruma nie zdołałby strzaskać tej niewidzialnej zapory.

W kilku słowach wyjaśnił rzecz Kerim Szachowi. Turańczyk wzruszył ramionami.

- Cóż, jeśli odcięto nam powrotną drogę, to musimy znaleźć inną. Zatem ruszamy naprzód, no nie?

Przytaknąwszy, Cymerianin odwrócił się i pomaszerował do drzwi po drugiej stronie komnaty, mając

wrażenie, że idzie na spotkanie nieuchronnej śmierci. Podniósł kindżał, by uderzyć w drzwi, lecz te otworzyły się cicho, jakby obdarzone własną wolą. Conan przeszedł przez próg i znalazł się w ogromnej sali. Pod jej bocznymi ścianami ciągnęły się rzędy wysokich lśniących kolumn, a sto stóp od drzwi zaczynały się szerokie nefrytowe stopnie schodów, zwężających się ku górze niczym boki piramidy. Nie miał pojęcia, co znajdowało się dalej, lecz aby wejść na schody, musiał minąć dziwny ołtarz z czarnego jak węgiel kamienia. Cztery wielkie, złote żmije owijały się wokół naroży ogonami, wysoko unosząc klinowate łby - zwrócone w cztery strony świata niczym strażnicy legendarnego skarbu. Jednak na strzeżonym przez nie ołtarzu spoczywała tylko kryształowa kula, wypełniona chmurą niby-dymu, w której unosiły się cztery złote jabłka granatu.

Ten widok wzbudził w umyśle Conana jakieś niewyraźne wspomnienie, ale nie poświęcił temu uwagi, ponieważ na dolnych stopniach schodów ujrzał cztery czarno odziane postacie. Nie zauważył, kiedy Wróżbici nadeszli; po prostu stali tam, zgodnie kołysząc ptasimi głowami, wysocy i chudzi, o dłoniach i stopach ukrytych w fałdach luźnych szat.

Jeden z nich podniósł rękę; rękaw jego togi opadł odsłaniając dłoń... która wcale nie była dłonią. Wbrew swej woli Conan zatrzymał się w pół kroku. Napotkał siłę odmienną od mesmeryzmu Khemisy i nie był w stanie zrobić ani kroku w przód, chociaż czuł, że może cofnąć się, jeżeli zechce. Jego towarzysze również stanęli i wydawali się jeszcze bardziej bezradni niż on; niezdolni do jakiegokolwiek ruchu.

Wróżbita uniesionym ramieniem skinął na jednego z Irakzajczyków, który ruszył ku niemu jak w transie; z wbitymi w dal, wytrzeszczonymi oczyma i mieczem w bezsilnie opuszczonej ręce. Gdy wojownik minął Conana, ten zagroził mu drogę wyciągniętym ramieniem. Cymerianin był o wiele silniejszy od Irakzajczyka i w normalnych warunkach z łatwością mógłby go zgnieść jak muchę. Jednak teraz wojownik odepchnął jego rękę jak źdźbło trawy, po czym podrygującym mechanicznym krokiem podszedł do schodów. Dotarł do stopni i ukląkł sztywno, podając swój miecz i pochylając głowę. Wróżbita wziął od niego broń. Błysnęło uniesione i opuszczone ostrze. Głowa Irakzajczyka spadła z ramion i z głuchym łomotem potoczyła się po czarnej, marmurowej posadzce. Z

rozrąbanych arterii trysnęła fontanna krwi, po czym ciało osunęło się i legło z rozrzuconymi szeroko rękami.

Zdeformowana dłoń znów uniosła się i skinęła na kolejnego Irakzajczyka, który chwiejnie ruszył na spotkanie śmierci. Koszmarna scena powtórzyła się i drugie bezgłowe ciało legło obok pierwszego.

Gdy trzeci góral przeszedł obok Conana zdążając ku swej zgubie, Cymerianin, któremu żyły nabrzmiały na skroniach z wysiłku, jaki wkładał w daremne próby przełamania trzymającej go niewidzialnej bariery, nagle zdał sobie sprawę, że wokół budzą się nieznane, przyjazne moce. Ta świadomość przyszła bez ostrzeżenia, niespodziewanie, lecz z taką siłą, że nie mógł wątpić w to, co podpowiadał mu instynkt. Lewa ręka Conana mimowolnie wsunęła się pod bakariocki pas i zacisnęła się na stygijskim darze Khemisy. Ścisnął go i momentalnie poczuł przyływ nowych sił w zdrętwiałych kończynach; wola życia wybuchła w nim z intensywnością blasku rozżarzonej do białości stali, a towarzyszył jej dojmujący gniew.

Trzeci Irakzajczyk był już bezwładnym trupem i odrażający palec skinął ponownie, gdy Conan poczuł, że niewidzialna bariera pęka. Z jego gardła wydobył się dziki

okrzyk i nagromadzona wściekłość znalazła ujście w błyskawicznym ataku. Runął jak burza na Wróżbitów, zaciskając lewą rękę na czarodziejskim pasie z rozpaczliwą siłą, z jaką tonący przytrzymuje się dryfującego pnia. Długie ostrze prawej dłoni lśniło niczym promień słońca. Stojący na schodach Wróżbici nie poruszyli się. Jeżeli nawet byli zdziwieni, to nie okazali tego; patrzyli zimno i obojętnie. Conan nie tracił czasu na rozważania, co robi, gdy znajdą się w zasięgu jego kindżału. Ogarnęła go żądza mordy - chciał tylko wbić ostrze w ciała wrogów, zanurzyć je w ich krwi.

Był już o parę kroków od schodów, na których stali szyderczo uśmiechnięci Wróżbici. Nabrał powietrze w płuca; wściekłość rosła w nim z każdym susem. Właśnie mijał ołtarz z oplatającymi go złotymi zmijami, gdy jak błysk gromu spadło nań wspomnienie tajemniczych słów Khemisy i usłyszał je, jakby ktoś wyszeptał mu do ucha: „Stłucz kryształową kulę”.

Zareagował niemal odruchowo. Między impulsem a działaniem upłynął tak nieskończenie mały ułamek chwili, że największy z czarnoksiężników nie zdołałby odczytać myśli i zapobiec temu, co nastąpiło. Zwinnie jak kot zmienił

kierunek ataku i z trzaskiem spuścił kindżał na kryształową kulę. Natychmiast poczuł niemalże namacalne tchnienie grozy, płynącej ze schodów, z ołtarza czy też z samego kryształu. Uszy rozdarł mu przeraźliwy syk rozszoszczonych zmij, które ożyły nagle i unosząc ohydne łby próbowały kąsać. Jednak rozwścieczony Conan był dla nich zbyt szybki. Błyszcząca klinga przecięła odrażające cielska jedno po drugim i spadła na kryształową kulę. Z gromowym hukiem kryształ rozprysnął się, sypiąc deszczem ognistych odłamków na czarny marmur posadzki, a złote jabłka granatu, jakby uwolnione z uwięzi, wystrzeliły pod wyniosły sufit i zniknęły.

Oszalały wrzask, zwierzęcy i upiorny, odbił się echem w wielkiej sali. Cztery czarne postacie na schodach wiły się i skręcały w konwulsjach, tocząc pianę z posiniałych ust. Crescendo niehumanicznego wycia urwało się nagle. Wróżbici zeszywnieli i zamarli w bezruchu. Conan wiedział, że są martwi. Popatrzył na ołtarz i kryształowe skorupy. Cztery bezgłowe, złociste zmije wciąż owijały się wokół ołtarza, ale w ich metalowych cielskach nie pozostał nawet ślad życia.

Kerim Szach wolno podnosił się z kolan, na które rzuciła go niewidzialna siła. Potrząsnął głową, by wyzbyć

się uporczywego dzwonienia w uszach.

- Słyszałeś ten trzask, kiedy rozbiłeś kulę? - zapytał. - Jakby jednocześnie z nią w zamku roztrzaskano tysiąc kryształowych luster. Czy w tych złocistych jabłkach granatu były uwięzione dusze czarnoksiężników? Ha!

Conan odwrócił się widząc, że Kerim Szach sięga po miecz i wskazuje coś ręką.

Na szczycie schodów pojawiła się nowa postać. Nieznajomy był także odziany w czarną togę, ale z bogato haftowanego aksamitu, a na głowie miał spiczastą czapkę. Na jego przystojnej twarzy malował się niezmacony spokój.

- Kim, do diabła, jesteś? - spytał Conan spoglądając na nieznajomego.

- Jestem Władcą Imszy! - odparł tamten głosem huczącym jak święteczny dzwon i przepojonym okrutną radością.

- Gdzie jest Jasmina? - spytał Kerim Szach.

Władca wybuchnął śmiechem.

- I po co ci to wiedzieć, trupie? Czyż tak szybko zapomniałeś o mej siłę, której niegdyś ci użyczyłem, że przybyłeś walczyć ze mną, biedny głupcze? Chyba będę

musiał wydrzeć ci serce, Kerim Szachu!

Wyciągnął rękę, jakby spodziewał się, że coś w nią wpadnie, i Turańczyk krzyknął przeraźliwie w śmiertelnej męce. Zatoczył się jak pijany; nagle rozległ się trzask pękających kości i ogniów kolczugi, a z jego piersi trysnął strumień krwi i przez okropną dziurę rozszarpanych tkanek wystrzeliło coś czerwonego i ociekającego - wprost do nastawionej dłoni Władcy, jak okruch stali przyciągany przez magnes. Turańczyk osunął się na posadzkę i legł bez ruchu, a Władca Imszy ze śmiechem cisnął pod nogi Cymerianina jeszcze bijące ludzkie serce.

Conan zaklął i z rykiem runął na schody. Z pasa Khemsy płynął strumień siły bezgranicznej nienawiści, pomagający mu przewyciężyć straszliwą emanację mocy, z jaką zetknął się na schodach. W powietrzu zawisła stalowo błyszcząca mgielka, w którą zanurzył się jak pływak - opuściwszy głowę, zasłaniając twarz zgiętym ramieniem i mocno ściskając kindżał w lewej ręce. Wytężając załzawione oczy, nieco wyżej, na stopniach, dostrzegł sylwetkę okrutnego czarnoksiężnika - falującą jak odbicie w wartko płynącej wodzie.

Targały nim i miały moce, których nie potrafił

ogarnąć rozumem, lecz czuł wspierającą go, płynącą z zewnątrz siłą, która niepowstrzymanie niosła go naprzód mimo potęgi Wróżbity i własnej słabości.

Dotarł na szczyt schodów i przez stalowoszarą mgielkę ujrzał przed sobą twarz Wróżbity oraz dziwny lęk malujący się w jego niepewnym spojrzeniu. Conan przebrnął przez mgłę jak przez fale przyboju i kindżał w jego muskularnej ręce skoczył w górę niczym żywe stworzenie. Ostrze rozcięło togę Władcy, który odskoczył ze zduszonym okrzykiem. Nagle, na oczach zdumiałego Cymerianina, czarnoksiężnik zniknął - po prostu zniknął jak mydlana bańka. Tylko po schodach przemknął jakiś długi i falujący cień.

Conan skoczył za nim na wąskie schody wiodące z podestu w górę.

Nie potrafił nazwać tego, co tędy umknęło, ale szalona wściekłość przy- tłumiała ogarniające go obrzydzenie i strach.

Pobiegł szerokim korytarzem o nagich ścianach i podłodze z polerowanego nefrytu. Przed nim śmignął długi cień, znikając w zasłoniętych kotarą drzwiach. Zawtórował

temu przerażony kobiecy krzyk, dobiegający z komnaty w głębi. Ten dźwięk uskrzydlił Conana, który pognał ile sił w nogach do drzwi i już w następnej chwili znalazł się w pomieszczeniu za kotarą.

Ujrzał przerażający widok. Na skraju pokrytego aksamitem podium kulila się Jasmina, wrzeszcząc z przerażenia i odrazy, podniesioną ręką zasłaniając się przed uniesionym ohydny łbem żmii o błyszczącym karku i połyskliwych ciemnych splotach. Ze zduszonym okrzykiem Conan rzucił kindżałem.

Potwór odwrócił się błyskawicznie i runął na niego jak wiatr przelatujący wśród wysokich traw. Długie ostrze utkwilo w jego karku tak, że rękojeść sterczała z jednej, a koniec klingi z drugiej strony, lecz to tylko zdawało się powiększać wściekłość wielkiego gada. Pochylił ogromny łeb nad człowiekiem, który odważył się stawić mu czoło, po czym szczerząc ociekające jadem kły próbował go nimi pochwycić. Jednak w tej samej chwili Conan wyrwał zza pasa sztylet i dźgnął nim z całej siły, kierując ostrze w górę. Stał przebiła dolną szczękę potwora i utkwila w górnej, przyszpilając je do siebie. Natychmiast wielkie cielsko owinęło się wokół Cymerianina; nie mogąc użyć kłów, wąż

spróbował innego sposobu ataku.

Lewa ręka Conana była przyciśnięta do ciała przez oplatające go zwoje, ale prawą miał wolną. Mocno wsparłszy się na rozstawionych nogach dla zachowania równowagi, złapał za wystającą z karku żmii rękojeść kindżału i wyszarpnął z jej cielska. Jakby odgadując swą nieludzką inteligencją zamiary przeciwnika, bestia zaczęła się wić i prężyć, usiłując owinąć się wokół jego wolnego ramienia. Jednak długie ostrze uniosło się już i opadło z szybkością błyskawicy, przecinając niemal na pół grube cielsko.

Zanim Cymerianin zdążył uderzyć ponownie, giętkie zwoje wypuściły go z uścisku i potwór śmignął po posadzce, brocząc krwią z okropnych ran. Conan skoczył za nim wznosząc broń do ciosu, lecz mordercze cięcie przeszło powietrze, bo wijący się gad usunął się w bok i uderzył łbem w przepierzenie z sandałowego drzewa. Jedna z płyt ustąpiła; długie, broczące krwią cielsko wślizgnęło się w otwór i zniknęło.

Cymerianin niezwłocznie zaatakował przepierzenie. Kilkoma ciosami wyrąbał w nim otwór i zajrzał do mrocznej alkowy. Nigdzie nie dostrzegł czarnego, ohydneho

gada. Zobaczył kałuże krwi na marmurowej posadzce i krwawe ślady wiodące do ukrytych w murze drzwi. Były to ślady bosych stóp...

- Conanie!

Okręcił się na pięcie w samą porę, by chwycić w ramiona Devi Vendii, która przebiegła przez komnatę i rzuciła mu się na szyję drżąc ze strachu, wdzięczności i ulgi.

Wszystkie te wydarzenia w najwyższym stopniu wzburzyły gorącą krew Cymerianina. Przycisnął dziewczynę do piersi z siłą, jaka w innych okolicznościach wywołałaby na jej twarzy bolesny grymas, i wycisnął na jej wargach gwałtowny pocałunek. Jasmina nie opierała się. Miejsce Devi zajęła zwykła kobieta. Zamknąwszy oczy utonęła w ulewie jego dzikich, gorących pocałunków, oddając się fali namiętności. Przerwał, by nabrać tchu, i spojrzał na nią; dyszącą, wtuloną w jego potężne ramiona.

- Wiedziałam, że po mnie przyjdiesz - mruknęła. - Nie zostawił- byś mnie w tym siedlisku demonów.

Słyszając te słowa Conan odzyskał rozsądek i świadomość tego, gdzie się znajdują. Podniósł głowę i nadstawił ucha. W zamku na Imszy panowała cisza, lecz była to cisza przepojona groźbą. Niebezpieczeństwo czaiło

się w każdym kącie, szczyrzyło się szyderczo zza każdej draperii.

- Lepiej chodźmy stąd póki czas - mruknął. - Te rany wystarczyły- by, żeby zabić każde zwykłe zwierzę lub człowieka, ale czarnoksiężnik to co innego. Zranisz go, a on odpełza jak ranny wąż, by z jakiegoś magicznego źródła zaczerpnąć nowego jadu.

Podniósł dziewczynę i niosąc ją w ramionach jak dziecko, ruszył przez błyszczący nefrytowy korytarz i schody, w nerwowym napięciu wypatrując oznak niebezpieczeństwa.

- Spotkałam Władcę Imszy - szepnęła Jasmina ostrząsając się i mocniej obejmując wybawcę. - Rzucił na mnie czary, by złamać moją wolę.

Najstraszniejszy był gnijący trup, który chwycił mnie w objęcia... wtedy zemdlałam i leżałam jak nieżywa, nie wiem jak długo. Zaraz po odzyskaniu przytomności usłyszałam na dole zgiełk i krzyki, a potem ten wąż wślizgnął się do komnaty i... ach! - zadrżała na to przerażające wspomnienie. - W jakiś sposób wiedziałam, że to nie złudzenie, ale prawdziwa żmija dybiąca na moje życie.

- W każdym razie nie była to zjawą - odparł tajemniczo Conan. - On wiedział, że przegrał, i wolał cię zabić, niż pozwolić, żebym ja cię zabrał.

- Kogo masz na myśli mówiąc on? - spytała niepewnie.

Nagle krzyknęła, przytuliła się do Conana i zapomniała o swoim pytaniu. Zobaczyła leżące u stóp schodów trupy. Zwłoki Wróżbitów nie przedstawiały przyjemnego widoku, były poskręcane i poczerniałe, a rozchylone szaty odsłaniały stopy i dłonie, które nie miały w sobie nic ludzkiego. Widząc je Jasmina posiniała i skryła twarz w szerokiej piersi Conana.

10. Conan i Jasmina

Conan szybko przeszedł przez hol, przeciął przedsionek i dotarł do drzwi wiodących na galerię. Spostrzegł, że posadzka jest usłana drobnymi, błyszczącymi okruchami. Kryształowa płyta zakrywająca wyjście rozsypała się kawałki. Cymerianin przypomniał sobie trzask towarzyszący rozbiciu spoczywającej na ołtarzu kuli i domyślił się, że w tej samej chwili rozpadły się wszystkie kryształy w zamku, a jakaś niewyraźna, skryta w podświadomości wiedza podsuwała mu wyjaśnienie tego faktu - prawdę o ponurym związku między Panami Czarne- go Kręgu a złocistymi jabłkami granatu. Poczuł zimny dreszcz przebiegający po krzyżu i pospiesznie wyrzucił tę myśl z pamięci.

Gdy wyszedł na galerię z zielonego nefrytu, wydał głębokie westchnienie ulgi. Musiał jeszcze przejść przez parów, ale przynajmniej mógł patrzeć na błyszczące w słońcu białe szczyty i długie zbocza tonące w morzu niebieskawych mgieł.

Irakzajczyk leżał w miejscu, gdzie padł; niekształtna plama na gładkiej, błyszczącej powierzchni. Idąc w dół

krętą ścieżką, Conan ze zdumieniem spojrzął na słońce, które jeszcze nie minęło zenitu; a przecież wydało się, że od chwili, gdy wszedł do zamku Imsza, minęły długie godziny.

Odczuwał nagłą potrzebę pośpiechu; nie powodowała tego ślepa panika, lecz instynktowne przeczucie czającego się za plecami niebezpieczeństwa. Nic nie powiedział Jaśminie, a dziewczyna wydawała się zadowolona mogąc oprzeć czarną główkę o jego wysoko sklepioną pierś i bezpiecznie wtulić się w muskularne ramiona. Conan przystanął na moment na skraju rozpadliny i marszcząc brwi spojrzął w dół. Przelewająca się w parowie mgła nie była już różowa i roziskrzona. Była mętna, szara i widmowa, jak cień życia tłącego się w zranionym człowieku. Cymerianina nawiedziła dziwna myśl, że zaklęcia czarnoksiężników są bardziej związane z ich osobowościami niż gra aktorów jest odbiciem zachowania zwykłych ludzi.

Jednak daleko w dole równina wciąż błyszczała jak matowe srebro, a złote pasmo skrzyło się nie przyćmionym blaskiem. Conan przerzucił sobie Jasminę przez ramię, co przystała bez oporu, i zaczął schodzić na dół. Pospiesznie opuścił się po rampie i przebiegł po rozbrzmiewającym

echem dnie rozpadliny. Był pewien, że ściga się z czasem i że jedyną szansą ocalenia jest jak najszybsze przebycie tej upiornej fosy, zanim ranny Władca odzyska siły na tyle, by sprowadzić na nich jakieś nowe niebezpieczeństwo.

Kiedy wdrapał się na przeciwległą ścianę i stanął na krawędzi, wydał głębokie westchnienie ulgi i postawił Jasińkę na ziemi.

- Dalej możesz iść sama - powiedział. - Droga przez cały czas będzie w dół.

Dziewczyna rzuciła ukradkowe spojrzenie na błyszczącą piramidę po drugiej stronie rozpadliny; zamek Imsza wznosił się na tle ośnieżonego stoku niczym cytadela milczenia i zła.

- Czy jesteś czarodziejem, że zwyciężyłeś Czarnych Wróżbitów z Imszy, Conanie z Ghor? - spytała Jasmina, gdy zaczęli schodzić ścieżką.

- To ten pas, który Khemsa dał mi przed śmiercią - odparł Cymerianin, otaczając krzepkim ramieniem wiotką talię dziewczyny. - Tak, znalazłem go na szlaku. To niezwykły pas; pokażę ci go, jak znajdę chwilę czasu. Przeciw niektórym zaklęciom okazał się nieskuteczny, ale przeciw innym bardzo mi pomógł; a dobry kindżał to

najskuteczniejsze zaklęcie.

- Ale skoro dzięki pasowi zwyciężyłeś Władcę - powiedziała Jasmina - to dlaczego nie powiodło się to Khemsie?

Conan potrząsnął głową.

- Kto wie? Khemsa był sługą Władcy, może to osłabiło jego siłę. Nade mną nie miał takiej władzy jak nad Khemsa. Jednak nie mogę powiedzieć, że go zwyciężyłem. Wprawdzie umknął, ale mam wrażenie, że jeszcze się z nim spotkamy. Chcę, by od jego siedziby dzieliła nas jak największa odległość.

Poczuł ulgę znalazłszy spętane konie przy tamaryszkach, tam gdzie zostały zostawione. Odwiązał je szybko, osiodłał czarnego ogiera i posadził dziewczynę przed sobą. Pozostałe konie ruszyły za nimi nabrawszy sił po popasie.

- I co teraz? - spytała? - Do Afgulistanu?

- Nie tak zarazi - uśmiechnął się blade. - Ktoś, może gubernator, zabił moich siedmiu naczelników. Ci moi głupcy myślą, że miałem z tym coś wspólnego, i dopóki nie przekonam ich, że się mylą, będą mnie ścigać jak rannego

szakala.

- A co ze mną? Jeżeli naczelnicy nie żyją, to jestem dla ciebie bezużyteczna jako zakładniczka. Chcesz mnie zabić, żeby ich pomścić?

Obrzucił ją roziskrzonym spojrzeniem i roześmiał się, słysząc takie niedorzeczne słowa.

- A więc jedźmy do granicy - powiedziała. - Tam będziesz bezpieczny przed Afgulisami...

- Tak, na vendiańskiej szubienicy.

- Jestem królową Vendii - przypomniała mu, na chwilę przybierając dawny władczy ton. - Ocaliłeś mi życie. Otrzymasz za to nagrodę.

Zabrzmiało to nie tak, jak chciała. Conan zachnął się.

- Zatrzymaj swoje skarby dla swych dworskich kundli, księżniczko.

Jeżeli ty jesteś władczynią równin, to ja jestem władcą gór i nie zabiorę cię nawet na krok w kierunku vendiańskiej granicy!

- Byłbyś bezpieczny... - zaczęła z niedowierzaniem.

- A ty byłabyś znów Devi - przerwał jej. - Nie, dziękuję; wolę cię taką, jaka jesteś teraz - kobietą z krwi i kości, jadącą ze mną w siodle.

- Przecież nie możesz mnie zatrzymać! - krzyknęła. - Nie możesz...

- Poczekaj, a przekonasz się! - poradził cierpko.

- Przecież zapłaciłabym ogromny okup...

- Niech diabli wezmą twój okup! - odparł szorstko, mocniej zaciskając ręce na jej wiotkiej talii. - Całe królestwo Vendii nie ma mi do zaoferowania niczego, czego pragnąłbym choć w połowie tak silnie, jak pragnę ciebie. Porwałem cię ryzykując życiem; jeżeli twoi dworacy chcą cię z powrotem, niech przyjadą do Zaibaru i odbiją cię siłą.

- Przecież nie masz już ludzi! - wykrzyknęła. - Jesteś ścigany. Jak zdołasz ocalić własne życie, nie mówiąc o moim?

- Mam jeszcze w górach przyjaciół - odparł. - Wódz Kurakzajczyków ukryje cię w bezpiecznym miejscu, dopóki nie dogadam się z Afgulisami. Jeżeli nie zechcą mnie wysłuchać, to, na Kroma! - pojedę z tobą na północ, do stepowych kozaków. Zanim przybyłem na Wschód, byłem hetmanem Wolnych Towarzyszy. Uczynię cię królową dorzecza Zaporoski!

- Nie chcę! - opierała się. - Nie możesz mnie zmusić...

- Jeżeli ten pomysł jest ci tak niemiły - rzekł - to

dla czego tak chętnie nadstawiałaś usta do pocałunków?

- Nawet królowa jest tylko kobietą - odparła rumieniąc się. - I dlatego, że jestem królową, muszę brać pod uwagę interesy mojego królestwa.

Nie zabieraj mnie w jakieś obce kraje. Wróć ze mną do Vendii!

- A czy uczynisz mnie swoim królem? - spytał uśmiechając się sardonicznie.

- No, zwyczajnie... - zająknęła się, a Conan przerwał jej mówiąc ze śmiechem:

- Tak, zwyczajnie cywilizowanych ludzi, które nie pozwolą ci uczynić tego, co byś chciała. Wyjdiesz za jakiegoś starego, pomarszczonego króla z równin, a ja ruszę w swoją drogę, zabierając jako jedyną pamiątkę wspomnienie paru skradzionych pocałunków? Ha!

- Ale ja muszę wrócić do mego królestwa! - powtórzyła bezradnie.

- Po co? - pytał ze złością. - Wycierać tyłkiem złote trony i słuchać pochlebstw głupio uśmiechniętych fircyków w aksamitnych szatach? I co ci to da? Słuchaj: urodziłem się w górach Cymerii, gdzie wszyscy są barbarzyńcami.

Byłem najemnym żołnierzem, korsarzem, kozakiem -

robiłem sto innych rzeczy. Który król przemierzył tyle krajów, stoczył te bitwy, kochał tyle kobiet i zdobywał takie łupy jak ja?

Przybyłem do Gulistanu, by zebrać horde i splądrować południowe królestwa; między innymi i twoje. To że zostałem wodzem Afgulisów, to miał być dopiero początek. Jeżeli zdołam ich przejednać, w ciągu roku pójdzie za mną tuzin innych plemion. Jeżeli nie, wrócę na stepy i razem z kozakami będę grabił pogranicze Turanu. A ty pojedziesz ze mną. Do diabła z twoim królestwem; dawali sobie jakąś radę, kiedy nie było cię na świecie.

Leżąc w jego ramionach i patrząc mu w oczy Jasmina czuła budzące się w duszy zuchwałe pragnienie, dorównujące intensywnością jego pasji. Jednak tysiąc generacji stanowiło przytłaczający ciężar.

- Nie mogę! Nie mogę! - powtarzała bezradnie.

- Nie masz wyboru - zapewnił ją. - Pojedziesz.... Co, do diabła!?

Zostawili Imszę daleko za sobą i jechali teraz po wysokiej grani, oddzielającej dwie doliny. Właśnie znaleźli się w najwyższym punkcie skalnego grzebienia, skąd mieli dobry widok na dolinę po prawej stronie. Toczyła się tam

zacięta bitwa. Silny wiatr wiał w przeciwną stronę zwiewając odgłosy walki, lecz i tak z dołu dochodził szcęk stali i łomot kopyt.

Dostrzegli błysk słońca na grotach lanc i spiczastych hełmach. Trzy tysiące zakutych w stal jeźdźców pędziło przed sobą bandę obszarpanych wojowników w turbanach na głowach, którzy umykali jak stado wilków, odgryzając się napastnikom.

- Turańczycy! - mruknął Conan. - To oddziały z Sekunderamu. Co oni tu robią, do licha?

- Kim są ci, których ścigają? - spytała Jasmina. - I dlaczego walczą tak zżarcie? Przy takiej przewadze wroga nie mają żadnych szans.

- To pięciuset moich zwariowanych Afgulisów - warknął Conan marszcząc brwi. - Są w pułapce i wiedzą o tym.

Rzeczywiście, Afgulisi znaleźli się w ślepej uliczce. Dolina zwężała się stopniowo, przechodząc w głęboki wąwóz zakończony niewielką kotlinką, otoczoną wyniosłymi, nieprzebytymi ścianami.

Jeźdźcy w turbanach byli spychani do tej rozpadliny, a nie mając innego wyjścia cofali się tam krok po kroku, w

deszczu strzał i gradzie ciosów. Turańczycy napierali na nich zdecydowanie, ale niezbyt silnie. Znali wściekłość doprowadzonych do rozpaczy górali i dobrze wiedzieli, że złapali ich w pułapkę bez wyjścia. Stwierdziwszy, że wojownicy należą do plemienia Afgulisów, zamierzali ich otoczyć i zmusić do poddania się. Aby zrealizować swój plan, potrzebowali zakładników.

Ich emir był człowiekiem czynu. Kiedy dotarł do Doliny Guraszah i stwierdził, że ani przeciwnicy, ani emisariusz nie stawili się na miejscu spotkania, ruszył dalej ufając swojej znajomości gór. Przez cały czas jego wojsko walczyło z wrogo usposobionymi tubylcami i w wielu wioskach górale lizali swe rany.

Emir wiedział, że zapewne ani on, ani żaden z jego lansjerów nie powróci żywy do Sekunderamu, bo ze wszystkich stron otaczali ich wrogowie; był jednak zdecydowany wykonać rozkazy - to znaczy za wszelką cenę odebrać Devi Afgulisom i przyprowadzić ją jako niewolnicę Jezdigerdowi lub też, jeśli okaże się to niemożliwe, ściąć jej głowę i polec z honorem. O tym wszystkim, rzecz jasna, spoglądająca z grani para nie miała zielonego pojęcia. Conan wiercił się niespokojnie.

- Czemu, do diaska, dali się zaskoczyć? - rzucił w przestrzeń pytanie. - Wiem, co te psy robią w tych stronach; polują na mnie. Zaglądali do każdej doliny i zanim się opamiętali, wpadli w pułapkę. Biedni durnie! Będą się bronić w wąwozie, ale nie wytrzymają długo. Kiedy Turańczycy zepchną ich do kotliny, zrobią z nimi, co zechcą.

Zgiełk dobiegający z dołu przybierał na sile. Zaciekle opierający się Afgulisi w wąskim wąwozie powstrzymali na chwilę okrytych żelazem jeźdźców, którzy nie mogli rzucić przeciw nim wszystkich sił.

Conan zmarszczył ponuro brwi, zakręcił się niespokojnie macając za rękojeścią kindżału i w końcu rzekł bez ogródek:

- Devi, ja muszę tam iść. Znajdę ci jakąś kryjówkę, w której zaczekasz, aż wrócę. Mówiłaś o swoim królestwie... no, nie będę udawał, że uważam tych włochatych diabłów za swoje dzieci, ale mimo wszystko, jacy są, to są, ale to moi ludzie. Wódz nigdy nie opuszcza swoich ludzi, nawet jeżeli oni opuścili go pierwsi. Wydawało im się, że mają rację obwiniając mnie... Do diabła, nie będę stał z boku i patrzył, jak ich wyrzynają! Wciąż jestem wodzem Afgulisów i

udowodnię to! Zejdę na dół do wąwozu.

**- A co ze mną? - zaprotestowała. - Zabrałeś mnie siłą z
mojego kraju, a teraz chcesz mnie zostawić w górach samą?**

**Conan bił się z myślami, aż żyły nabrzmiały mu na
skroniach.**

**- To prawda - mruknął bezradnie. - Krom wie, co
powiniennem teraz zrobić.**

**Jasmina lekko pochyliła głowę i na jej pięknej
twarzyczce pojawił się dziwny grymas.**

- Słuchaj! - krzyknęła nagle. - Słuchaj!

**Wiatr przyniósł do ich uszu słabe odgłosy fanfar.
Spojrzeli w dolinę po lewej stronie grani i w oddali
dostrzegli długie kolumny jeźdźców. Sunęły dnem doliny
błyszczące w słońcu stałą lanc i polerowanych hełmów.**

- To vendiańska konnica!

**- Są ich tysiące! - mruknął Conan. Już od dawna
kszatrijaskie oddziały nie zapuszczały się tak daleko w
góry.**

**- Oni szukają mnie! - wykrzyknęła Jasmina. - Daj mi
swojego konia!**

**Pojadę po moich wojowników! Z lewej strony grań nie
jest tak stroma, można zjechać w dół. Ty idź do swoich i każ**

im wytrzymać jeszcze chwilę. Ja skieruję jazdę w dolinę i uderzę na Turańczyków! Weźmiemy ich w kleszcze. Szybko, Conanie! Chyba nie chcesz, by twoi ludzie zginęli przez twoje żądze?

Jego oczy płonęły dziką namiętnością, lecz zeskoczył z konia i oddał jej wodze.

- Wygrałaś! - mruknął. - Pędź jak wszyscy diabli!

Jasmina skręciła na stok po lewej ręce, a on pobiegł szybko granią, aż dotarł do długiej, poszarpanej szczeliny wąwozu, w którym szalała bitwa.

Zwinnie jak małpa opuścił się na dół wykorzystując wgłębienia i występy skały, by w końcu skoczyć w sam środek walczących. Wokół rozlegał się świst i szcęk stalowych ostrzy, kwik i rzenie koni oraz łoskot walących się na ziemię ciał.

Zaledwie jego stopy dotknęły ziemi, Cymerianin zawył jak wilk, chwycił za nabijaną złotem uzdę, uchylił się przed ciosem szabli i wbił swój kindzał w serce jeźdźca. W następnej chwili był już w siodle, wykrzykując wściekle rozkazy do oszołomionych Afgulisów. Przez moment patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami; później, widząc spustoszenie, jakie czynił wśród wrogów, znów zabrali się

do dzieła, bez zastrzeżeń akceptując jego powrót. W tym piekielnym rozgardiaszu nie było czasu na zadawanie pytań czy udzielanie odpowiedzi.

Wciąż nowe szeregi jeźdźców w spiczastych hełmach i połączonych kolczugach wdzierały się do wąwozu; wąska rozpadlina była całkiem zapchana przez kłębowisko ludzi i koni; walczący zderzali się piersią w pierś, dźgając krótkimi nożami, zadając mordercze cięcia, ilekroć znaleźli odrobinę miejsca, by unieść ramię. Wojownik, który spadł z konia, już nie podnosił się z ziemi, wdeptany w nią setką kopyt. W takiej walce decydowała brutalna siła, a wódz Afgulisów miał jej za dziesięciu. W takich chwilach ludzie chętnie ulegają zakorzenionym zwyczajom i górale, którzy przywykli widzieć Conana na czele, nabrali animuszu.

Jednak przewaga liczebna też miała swoje -znaczenie. Napierające szeregi turańskiej jazdy spychały pierwszych jeźdźców w głąb wąskiego wąwozu, pod migoczące ostrza szabel Afgulisów. Górale cofali się wolno, pozostawiając za sobą wał trupów. Rąbiąc i kłując jak szalony, Conan nie przestawał zadawać sobie mrozącego krew w żyłach pytania: czy Jasmina dotrzyma słowa? Przecież mogła dołączyć do swoich wojowników i zawrócić na południe,

zostawiając Cymerianina i jego Afgulisów na pewną śmierć.

Jednak w końcu, kiedy wydawało się, że minęły już wieki rozpaczliwych zmagañ, ponad szczyk stali i wrzaski ginących wzbil się nowy dźwięk. Z hukiem trąb, od którego zatrzęsły się góry, z narastającym dudnieniem kopyt, pięć tysięcy vendiańskiej jazdy uderzyło na konnicę Jezdigerda.

To jedno uderzenie odrzuciło turańskie szwadrony na boki, rozbiło je, zgmiotło i rozpędziło po całej dolinie. W mgnieniu oka fala atakujących wycofała się z wąwozu; Turańczycy zawrócili, by pojedynczo lub gromadnie rzucić się w wir walki. Jednak gdy przeszyty kszatrijaską lancą emir osunął się na ziemię, jeźdźcy w szpiczastych hełmach stracili serce do walki; wściekle popędzając konie próbowali przedrzeć się przez pierścień napastników.

W miarę jak ich oddziały szły w rozsypkę, zwycięscy Vendianie ruszali za nimi w pogoń i cała dolina oraz łagodne stoki u jej wylotu zaroily się od uciekających i ścigających. Ci z Afgulisów, którzy mogli jeszcze utrzymać się w siodle, wypadli z wąwozu i przyłączyli się do pościgu, bez zastrzeżeń akceptując niespodziewane przymierze, tak samo jak zaaprobowali powrót wygnanego

wodza.

Słońce chowało się już za ostre szczyty Himelii, gdy Conan, z odzieniem w strzępach, zbryzganą, lepka od krwi kolczugą i ubroczonym kindziałem w dłoni, przeszedł przez pobojuwisko i podszedł do Devi Jaśminy, która w otoczeniu swej świty czekała na grani, przy krawędzi urwiska.

- Devi! - ryknął. - Dotrzymałaś słowa, chociaż były chwile, kiedy myślałem... Uważaj!

Olbrzymi sęp spadł jak piorun z jasnego nieba, uderzeniem skrzydeł zwalając jeźdźców z siodeł. Zakrzywiony jak bułat dziób mierzył już w miękką szyję Jasminy, lecz Conan był szybszy; krótki bieg, tygrysi skok, wściekłe pchnięcie okrwawionym kindziałem i sęp z przerażająco ludzkim jękiem zachwiał się, po czym runął w przepaść, by roztrzaskać się na głazach tysiąc stóp niżej. Spadając i młócąc skrzydłami powietrze przybrał postać człowieka w rozwianej czarnej todze.

Conan spojrział błyszczącymi oczami na Jasminę. Z licznych ran na jego muskularnych ramionach i udach sączyła się krew.

- Znów jesteś Devi - rzekł, nie zwracając uwagi na

zgromadzony wokół kwiat rycerstwa i szczerząc zęby na widok lamowanej złotem, cienkiej jak pajęczyna szaty, którą nałożyła na strój góralskiej dziewczyny. - Muszę ci podziękować za ocalenie ponad trzech setek moich zbójów, którzy w końcu przekonali się, że ich nie zdradziłem. Dzięki tobie mogę znów myśleć o podbojach.

- Wciąż jestem ci winna okup - powiedziała patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem. - Zapłacę ci dziesięć tysięcy sztuk złota...

Przerwał jej gwałtownym, niecierpliwym gestem i otarłszy ostrze kindżału wepchnął broń do pochwy.

- Sam wezmę sobie okup - rzekł - i sam wyznaczę sposób i czas zapłaty. Podejmę go w twoim pałacu w Ajodii, a przybędę z pięćdziesięcioma tysiącami zbrojnych, by mieć pewność, że otrzymam dobrą miarę.

Zaśmiała się, ściągając wodze.

- A ja spotkam cię na brzegu Jumdy ze stu tysiącami!

Oczy Conana wyrażały zachwyt i podziw, gdy odsunął się i władczym gestem uniósł dłoń pokazując Jaśminie wolną drogę.

Spis treści

Conan z Cymerii

- 1. Śmierć króla**
- 2. Barbarzyńca z gór**
- 3. Khemsa używa czarów**
- 4. Spotkanie na przełęczy**
- 5. Czarny ogier**
- 6. Góra Czarnych Wróżbitów**
- 7. W drodze na Imszę**
- 8. Jasmina jest obłądnie przerażona**
- 9. Zamek czarnoksiężników**
- 10. Conan i Jasmina**